

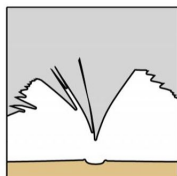
# SREBRO NIE ZŁOTO

Utwory nagrodzone oraz wyróżnione  
w szóstej edycji konkursu

Białystok 2021  
Książnica Podlaska  
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



## VII edycja konkursu literackiego w 2021 r.



*srebro  
nie złoto*

### Organizatorzy



### Współorganizatorzy



Konkurs i wydanie tomiku z utworami laureatów VI edycji są współfinansowane ze środków Województwa Podlaskiego



© Copyright by Stowarzyszenie Szukamy Polski, 2021

© Copyright by Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, 2021

### **Redakcja**

JOLANTA FALKOWSKA

BOŻENA BEDNAREK

### **Korekta**

JOLANTA FALKOWSKA

BOŻENA BEDNAREK

### **Projekt typograficzny, projekt okładki, skład i łamanie**

GRZEGORZ KOWALSKI

ISBN 978-83-66137-46-2

Publikacja powstała przy wsparciu Województwa Podlaskiego



### **Wydawca**

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego

w Białymstoku

ul. Marii Skłodowskiej-Curie 14 A

15-097 Białystok

[www.ksiaznicapodlaska.pl](http://www.ksiaznicapodlaska.pl)

[ksiaznica@ksiaznicapodlaska.pl](mailto:ksiaznica@ksiaznicapodlaska.pl)

**K**SIĄŻNICA  
**PODLASKA**  
*im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku*

UTWORY NAGRODZONE  
W KATEGORII OGÓLNEJ  
W DZIEDZINIE POEZJI

Pierwszego miejsca nie przyznano.

## II miejsce

Elżbieta Kasperek

(Białystok)

Wrażliwość, wyobraźnia i czułość dla fantazji, jest zdecydowanie myślą przewodnią utworu. Poetycka dusza podąża bezdrożami, wraz z wiatrem i tańcem. Taką poezję w białym wierszu zawarła autorka, przemycając ludową wizję romantyzmu.

### Knieja

Kobiety, co umiały czarować  
siadły na wozy drabiny  
a koniom zasupały  
ogony  
Przytulone, objęte  
pędziły po wykrotach  
a zakręty unosiły ich barwne spódnice,  
a śpiew ich szedł przez las  
od drzewa do drzewa  
I czasem perły śmiechu  
spadały z konarów  
i niosły się echem  
aż do gęstwiny  
gdzie zając zdumione  
podnosił uszy

Aż mrówki  
wyszły spod ziemi:  
Czy to już wiosna?  
A potem karmiły  
siebie i innych  
Pigwa, wiśnia, imbir  
i czarna porzeczka  
Tak miło pogwarzyć wśród sosen  
by potem ruszyć  
w taniec  
gdy wszystko jest rytmem  
I nawet tupot nóg nie traci nadziei  
na jeszcze jeden  
lub wiele razy.



### III miejsce

Regina Świtoń

(Knyszyn)

Nostalgiczny, wzruszający wiersz jest tęsknotą za dawno minionym światem. Wspomnienie ubrane w poezję, wydaje się być udziałem każdego, kto już długo wędruje przez dorosłość. Wyraźnie wyczuwane nuty liryczne w utworze, znakomicie wybrzmiewają czytelnikowi i wiodą go w krainę wspomnień.

#### Retrospekcja

Za oknem świerk w alabastrowym żupanie  
witał mroźny poranek, a w domu rozkwitała  
sielankowa codzienność.

Ogień buzował pod fajerką, pękaty czajnik  
prychał gorącem. Z „duchówki” sączył się  
aromat drożdżówek.

Matka maglowała biel. Wibrował jej śmiechem  
pokoik nieduży. Pastel słońca lubił tu gościć.  
Rozbijał na ścianach rumianą poźlotę.

Kochałam ten azyl, gdzie pachniało herbatką  
malinową, a cukrzony śliwki w occie, gruszki  
z goździkami, rozdawały słodycz późnego lata.

Gdyby tak odwrócić czas, raz jeszcze wejść  
do ogrodu dzieciństwa, poczuć tamte spojrzenie...

Chwile z matką zatarła cisza.

# TRZY RÓWNORZĘDNE WYRÓŻNIENIA



## **Wyróżnienie**

Marek Górniewicz

(Kleosin)

Sprawne posługiwanie się metaforą, świadczy o wrażliwości i talencie. Wspomnienie z podróży zamknięte w poezji. Zaciekawia i zachęca do sięgnięcia po dalsze utwory. Poznać poetę.

### Roma

Na kamiennych schodach  
czarny kot  
oparty wąsem  
o Koloseum  
rozłożone niczym dziurawa  
muszla pod rzymskim niebem  
skropione rdzą czasu  
uśpione.  
Zmarszczki murów  
leniwie tworzą  
obraz przemijania  
odbity  
w kocim spojrzeniu  
jak w bezmiarze wieczności

## Mallorca

każdego dnia liczymy dłonie na fortepianie  
Chopin wyjechał wcześniej  
z porannej Valldemossy

rozmazałem uśmiech sokiem z cytryny  
bawiąc się kolorem oleandrów

taki dzień budzi się jak niemowlę  
z oczkami w stronę mamusinego słońca  
i butelką cieplej chwili

na rozgrzanych plażach suszą się turyści  
morze odpływa w dal  
słowa niewypowiedziane  
ubieramy w epitety

## Wyróżnienie

Irena Słomińska

(Białystok)

Poetycka pieśń pochwalna dla najmniejszej formy życia w przyrodzie. Wrażliwość z natury i dla niej, czyni autora poetą. Fascynacja sztuką japońską oddana w piękny, literacki sposób.

### Mikrokosmos

Haiku. Motyle w powietrzu.  
Nad światem – łąką. Światem jako filozoficznym  
pytaniem.  
Łąką, na której każde źdźbło jest drogą.  
Rozkwitającą dopiero co zrodzonym pękiem  
słów.  
Miniatura człowieka w miniaturze zieleni.  
Maleńkie życie, nasionko wielkiego.  
Haiku.

Motyle. Skrawki lotnego piękna.  
Rozmigotane barwą, frunące skrzydełka.  
Dotknięcie nieskończoności w skończoności.  
Haiku.

Każdy je tworzy. Składając pocałunek  
na twarzy świata.

Matsuo Basho umoczył swój pędzelek w tuszu.  
Malując siebie i swój mikrokosmos.



## **Wyróżnienie**

Krystyna Gudel

(Suchowola)

W prostych domowych czynnościach najtrudniej znaleźć poezję. Autorce udaje się to znakomicie. Byстрыm spojrzeniem dostrzega wdzięk i piękno zapracowanej, pozornie tylko znużonej, kobiety. Interesująca poetycka opowieść o kilku chwilach życia.

### Mirabelkowy rytm

umyc można hurtem  
wyłożyć na durszlak  
do osuszenia

kobieta zajmuje  
stałe miejsce w kuchni  
siada na krześle  
pomiędzy nogi ustawia  
taboret a na nim  
w misce mirabelki

w prawej ręce nożyk  
z krótkim ostrzem  
rytmicznie nacina owoc  
od góry do dołu  
który bierze z miski

lewą ręką  
kciukiem prawej ręki  
usuwa pestkę  
łąduje ona w naczyniu  
na podłodze  
nacięty owoc wrzuca  
do miski na stole  
sięga po następny  
nożyk z krótkim ostrzem  
nacina owoc  
kciukiem prawej ręki  
usuwa pestkę  
śliwkę wrzuca do miski  
i sięga po kolejną  
nożyk z krótkim ostrzem  
nacina owoc

powtarzalność nuży  
lecz kobieta pracuje  
nawet z zamkniętymi  
oczami ale nie śpi  
bo coraz bliżej  
do pełni radości

na wpół otwarte  
buzie mirabelek  
jakby się cieszyły

że nadszedł czas

UTWORY NAGRODZONE  
W KATEGORII OGÓLNEJ  
W DZIEDZINIE PROZY



## I miejsce

Krzysztof Broda

(Białystok)

Utwór „Skok” nagradzamy za przewrotną próbę pokazania, jak nieudolne jest kuszenie w wersji męskiej. Zabawną i wzruszającą opowieść o tym, że dusza ludzka jest swawolna, ruchliwa i zawsze młoda. I za piękne świadectwo miłości, gdzie nawet po latach mąż kusi żonę jabłkami... z cudzego raj. Co z tego, że nieudolnie.

### Skok

Mała, nadmorska miejscowość po sezonie. Wczasowicze wyjechali, stragany z pamiętkami zabito deskami, a smaźalnie z rybą, kiełbaskami i karkówką wygasiły różna. Wszystko spowija jesienna, lepka mgła, snująca się po dywanie wszechobecnych, kolorowych liści. Wszędzie panuje senny nastrój odpoczynku po gwarze wakacyjnej kanikuły. Trwa spokojne wyczekiwanie na pierwszy śnieg, a za parę miesięcy na kolejny gwarny, urlopowy sezon. Na zasypanych liśćmi chodnikach i nadmorskich promenadach można spotkać tylko nielicznych autochtonów i grupę pensjonariuszy miejscowego sanatorium. Ci ostatni przyjechali podreperować swoje zdrowie, odpocząć w nadmorskim, jesiennym klimacie, poznać kogoś interesującego, a może nawet przeżyć sanatoryjny romansik? Zawsze można ich spotkać, gdy po zabie-

gach snują się po ulicach, wypełniają nieliczne puby i spacerują po wspaniałej nadmorskiej plaży.

Bohaterowie tej opowieści, to małżeństwo „po przejściach” w średnim wieku, zakochane w sobie bez pamięci. On – przyszedł emerytowany nauczyciel, ona – urzędniczka w kwiecie wieku. Wyszli sobie właśnie na poobiedni spacer przez las i wydmy, w stronę plaży. Przyjechali z niewielkiego miasta, by – jak większość kuracjuszy – podreperować swoje zdrowie, cieszyć się lenistwem i radością bycia razem. Idą, trzymając się za ręce, szczęśliwi, że wreszcie są nad morzem, które tak bardzo kochają. Przytuleni mijają senne, prywatne posesje. Są zupełnie sami, z rzadka tylko ktoś przemyka, otulony w jesienny płaszcz. Idą uśpionym miastem, ciesząc się z bycia tutaj i smakując każdą chwilę ostatnich ciepłych, jesiennych dni.

Mijali właśnie ośrodek wypoczynkowy Funduszu Wczasów Pracowniczych „Bałtyk”, którego czas świetności dawno już minął. Ogrodzony metalowym płotem i bramą zamkniętą na wielką, zardzewiałą kłódkę, od lat zapewne nie otwieraną. Piętrowy dom wczasowy z pustymi oczodołami okien z powybijanymi szybami, odrapanymi ścianami, których kolor trudno dziś odgadnąć, tworzył przygnębiający widok. Smutnego widoku dopełniał obraz kilku zniszczonych domków kempingowych, z wymalowanymi dziś już wyblakłą farbą nazwami: „Zosia”, „Marek”, „Karolek”. Kiedyś to miejsce tętniło letnim życiem, rozbrzmiewało radosnym gwarem. Dziś jest smutne, opuszczone i zapomniane...

Na środku pustego placu (kiedyś zapewne pola namiotowego) stało ujęcie wodne – ogrodzona zardzewiałą siatką studnia, na której wisiał napis „Wstęp wzbroniony”. Przy niej, jak cudow-

ny kwiat na kolczastym kaktusie, rosła mała, rachityczna jabłonka ze wspaniale czerwonymi, dojrzałymi jabłkami!!!

– *Widzisz to co ja?!* – powiedział, patrząc na wspaniale owoce.

– *Zżartabym jedno chętnie* – powiedziała, patrząc z zachwytem na piękne, dorodne jabłka.

– *Muszą być pyszne...* – dodała rozmarzona.

– *To ci zaraz przyniosę!* – odrzekł bez chwili wahania.

– *No zwariowałaś! Jak cię ktoś zobaczy, będzie afera, nie wygłupiaj się...* – rzekła, trzymając się kurczowo rękawa jego kurtki.

– *Dobrze, to przyjdziemy w nocy* – stwierdził tajemniczo.

– *Będzie niezła zabawa.*

Wyczekiwany z niecierpliwością wieczór w końcu nadszedł. Kolacja dłużyła się niemiłosiernie. Pachnąca, z przysmażoną cebulką ziemniaczana zapiekanka, nie smakowała jak zwykle. Jedli posiłek jak najszybciej. Ich sąsiedzi z lekkim przerażeniem patrzyli, jak w pośpiechu żuli kolejne kęsy.

– *Co robicie państwo dziś po kolacji?* – spytał sąsiad, bardzo sympatyczny staruszek.

– *Idziemy na spacer, zawsze chodzimy po kolacji nad morze* – odpowiedzieli oboje naraz.

– *Tak po ciemku?* – rzekł z niedowierzaniem i lekką nutką zazdrości.

– *Wieczorem najwięcej jest jodu w powietrzu* – dodała, kończąc szybkoitko posiłek.

Wyszli z sanatorium. Na zewnątrz panowały już zupełne ciemności. Stara latarnia rzucała słabe, żółtawe światło i skrzypiała na wietrze metalową, zardzewiałą osłoną. Mdlawa poświata tworzyła niesamowity nastrój, jakby z powieści kryminalnych.

Jabłoń okrywała zupełna ciemność, ale wiedzieli, że ONE tam są!

– *Muszę znaleźć dobre miejsce do przejścia na drugą stronę* – szepnęła konspiracyjnie.

– *Czemu tak cicho mówisz, przecież tu nikogo nie ma?* – spytała zdziwiona i lekko rozbawiona.

– *Cicho, ktoś idzie!* – szepnęła ponownie, biorąc ją za rękę. Ruszyli, udając zajętych rozmową spacerowiczów. Kroki przechodnia, który ich minął donośnie zabrzmiały w wieczornej ciszy. Zniknęła za zakrętem tak szybko, jak się pojawił.

– *Dobra, poszedł. Może tu przejdę na drugą stronę?* – powiedział, próbując włożyć but w kratkę ogrodzenia. Chciał przerzucić ciało na drugą stronę, jak w dzieciństwie robił to wielokrotnie. I... okazało się, że nic z tego. But nie wszedł w oczko siatki. Był za duży, albo oczko za małe. „No przecież muszę się jakoś „podsadzić” na ten cholerny płot” – pomyślał lekko wkurzony.

– *Wiem! Podstawię kosz na śmieci, ten co tam stoi i po nim przejdę na drugą stronę* – powiedział na głos z radością, że znalazł wyjście.

– *Ciekawa jestem, w jaki sposób wrócisz? Chyba, że weźmiesz go ze sobą?* – zakpiła z jego pomysłu.

– *Kurczę, no słusznie... Dobra, muszę to zrobić jakoś inaczej, coś wymyślę* – rzekł.

Wszystko odłożyli na jutro... Noc przyniosła sztorm. Prawdziwe bałtyckie 10 w skali Beauforta! morze groźnie huczało przez całą noc i dzień. Fale waliły z ogromną siłą w brzeg, a silny wiatr rozpylał miliony piaszczystych drobinek, które wciskały się w każdą szczelinę ubrania spacerowiczów. Następnego dnia rano, zaraz po śniadaniu popędzili na miejsce „akcji”,



by zobaczyć, czy po sztormie zostało na drzewku choć jedno jabłko! Okazało się, że parę jednak przetrwało wichurę, ale było ich coraz mniej. Znów niecierpliwie czekali na zapadnięcie zmroku. Wszystko było już starannie zaplanowane. On był gotowy do wieczornego „skoku”. Gdy zapadła ciemność, udali się ponownie na miejsce. Po starannej obserwacji terenu On wybrał miejsce, gdzie „przesadzi” płot. Stwierdził, że najlepiej będzie zrobić to przez bramę główną. To rozwiązanie miało tylko jeden feler – miejsce było nieźle oświetlone.

– *Podejdę, skoczę na bramę, „przerzut” na drugą stronę i... jestem w środku. Wszystko muszę wykonać błyskawicznie, bo inaczej będzie kłapa* – powiedział, planując wyprawę.

Pomysł na pokonanie niezdobytego jak dotąd płotu okazał się bardzo prosty. Wystarczyło, że zamiast zimowych butów założył tenisówki, w których chodzi na zabiegi. Wprawdzie było mu trochę zimno w stopy, ale wiedział, że akcja nie potrwa dłużej niż dwie minuty, plus droga... W sumie jakieś 20 minut.

– *Wytrzymam jakoś* – rzekł, gdy spytała go, czy to na pewno dobry pomysł?

Stali w cieniu żywopłotu, gdy nagle zza zakrętu wyszedł otulony w płaszcz jakiś mężczyzna. Nie wiedząc, co zrobić, przyciągnął ją silnie do siebie i mocno przywarł ustami do jej ust. Przytuleni wyglądali jak para bez pamięci w sobie zakochanych nastolatków. Przechodzień zażenowany tym, co zobaczył, przeszedł na drugą stronę ulicy i przyspieszając kroku, zniknął za zakrętem.

– *No dobra, poszedł* – rzekł On, odsuwając się od niej. – *Teraz albo nigdy!*

Podszedł do płotu. Chwycił dłońmi górną część ogrodzenia. Wsadził trampek lewej nogi między metalową kratę. Wytężył mięśnie rąk, odbił się prawą i... zamiast wzbić się w górę i przetrzucić ciało na drugą stronę, opadł na chodnik. Bezskutecznie powtórzył próbę. Nic z tego! Jego ciało było za ciężkie, a od lat niećwiczone bicepsy za słabe! Nagle usłyszał za plecami radosny chichot. To Ona, patrząc na jego zmaganie się z płotem, zakryła dłońmi usta i parskała radosnym śmiechem.

– *Jak opowiesz to komuś, to się z Toba rozwiodę!* – syknął przez zęby, dysząc z wysiłku.

– *A jutro w spożywczym kupię ci kilogram Lobo!*

## II miejsce

Janina Jakoniuk  
(Białystok)

Utwór „Casting” nagradzamy za podjęcie tematu szantażu, z jakim spotykają się młodzi, nieświadomi zagrożenia ludzie. I za przypomnienie, że sława zawsze ma swoją cenę. Odmalowany portret pragnień mieszkańców niewielkich miejscowości można znaleźć w informacjach z kronik policyjnych, tu, poza suchymi faktami, znajdujemy także pytanie – czy warto. Opowiadanie przypomina, że nie zawsze.

### Casting

Wiadomość rozeszła się po miasteczku lotem błyskawicy: „Będą kręcić film! Zatrudnią statystów!” Dziewczyny już na samą myśl o możliwości wzięcia udziału w zdjęciach dostawały „gęziej skórki” z podniecenia. Jakoż wiadomość okazała się prawdziwa i faktycznie w gablocie przy budynku gminy pojawiło się niebawem wielce obiecujące ogłoszenie. Ze względu na malownicze położenie miasteczka, las, jezioro i ruiny zamku, postanowiono nakręcić tu parę scen do filmu obyczajowego. Zdjęcia miały się rozpocząć za miesiąc. Potrzebowano kilku statystów. Najlepiej, gdyby osoby zgłaszające się umiały śpiewać lub grać na jakimś instrumencie. Ponadto miały mieć dobrą dykcję, dysponować czasem w różnych godzinach i być w wieku od 14 do 24 lat. Za udział przewidywano wynagrodzenie

w wysokości 80 zł netto za dzień pracy przed kamerą, płatne po planie. Casting miał się odbyć za tydzień w miejscowej Szkole Podstawowej.

Jolka przeczytawszy ogłoszenie jak torpeda wpadła do mieszkania Magdy, koleżanki starszej nieco, bo już studentki.

– *Cześć Meg! Słyszałaś? Film będą u nas kręcić! Za tydzień casting!* – wyrzuciła z siebie jednym tchem zanim zamknęły się za nią drzwi.

– *Startujesz?* – zapytała Magda bez emocji.

– *A ty nie? Pewnie, że startuję! O kurka! Wiesz jak by to było fajnie! Zagrać w filmie! To moje marzenie! Może po maturze pójść do szkoły filmowej...to byłby już jakiś punkt zaczepienia - rozmarzyła się Jolka.*

– *E tam! Do szkoły filmowej to trzeba zdać egzaminy, a ty z „polaka” ledwie ciągniesz.*

– *No to co? Ale jakbym się sprawdziła w takim filmie... to może by mnie przyjęli...?*

– *Nie wiem. Może. Jeszcze cię nie przyjęli do żadnego filmu, ty marzycielko. Ale owszem, startuj. Masz tak zwane „walory” to powinnaś się załapać.*

– *Jakie walory?*

– *No takie, których nie mam ja. Jesteś zgrabna i ładna i śpiewasz nawet nieźle, to może cię wezmą.*

– *Myślisz? Myślisz, że mogę się załapać do tych zdjęć?* – zapytała z nadzieją w głosie Jolka.

– *Nawet jestem tego pewna, bo kto, jak nie ty? W naszej „wiosce” nie ma drugiej takiej. Tylko niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy. No i musisz się jakoś przygotować, żeby nie wyjść na „blondynkę”.*

– *To znaczy – jak przygotować...?* – Dobra! Zaczniemy od „języka polskiego”.

– Zwariowałaś? Co ma do tego „polski”?

– A przekonasz się. No więc?

– Ok! Poddaję się.

## II

Casting zaplanowano na sobotę, na godzinę 10-tą. Potrzebowano trzech dziewczyn i trzech chłopaków. Już od dziewiątej przed szkołą ustawiła się długa kolejka. Prawie wszystkie dziewczyny z miasteczka chciały robić karierę aktorską. Chłopaków stało zaledwie kilku. Widocznie uważali, że to takie „nie męskie” zajęcie. W kolejce panował rejwach, kpiny i śmiechy. Dziewczyny postroiły się i wymalowały jak na aktorki przystało. Magda nie pozwoliła Jolce się zanadto wystroić i pomalować.

– *Tapetę to ci nałożą przed zdjęciami, a teraz masz być naturalna* – przykazała.

Samochód ekipy filmowej zajechał tuż przed 10-tą. Kiedy się zatrzymał przed szkołą, w kolejce zapanowała cisza. Wysiadło kilka osób, w tym „bożyszcze” nastolatków Wiktor Górny. Rozejrzał się po zebranych i ze śmiechem, ukazując przy tym bielutki garnitur zębów zapytał:

– *Co tu tak cicho? Na pogrzeb przyszliście?*

W kolejce nastąpiło poruszenie, ale poza nerwowymi chichotami niektórych pańienek i wzdychaniem innych, dalej nikt się nie odezwał.

– *Ale was tu jest.* – stwierdził. – *Chyba będziemy musieli przestłuchiwać ich ze dwa dni!* – rzucił w kierunku pozostałych osób z ekipy.

– *O to się nie martw. Do obiadu skończymy.* – odpowiedziała mu znana z telewizji aktorka Gertruda Smolik.

W tym momencie Jolka zauważyła gościa w ciemnych okularach z okazałym brzuchem i o przeredzonych nad czołem włosach. Coś niemięgo podpowiadała jej intuicja.

– *Skądś go znam?* – pomyślała. – *Ależ tak, to ten sam typ, który w zeszłym roku tak je urządził! Ją i jej kuzynkę Agnieszkę! Może to nie on? Może tylko podobny? Ale tamten mówił, że jest reżyserem i że z każdej dziewczyny może zrobić gwiazdę filmową, to by pasowało...*

Przypomniał jej się tamten wieczór, kiedy będąc w Warszawie u ciotki, poszły z Agnieszką na dyskotekę. Wtedy podszedł do nich chłopak, niby znajomy Agi, Karol, ale ona nie przypominała sobie tej znajomości. Najpierw z nimi tańczył, a potem zaprosił do bufetu na drinka. Dziewczyny nie podejrzewając nic złego zgodziły się. Wypiły po jednym, zamówił kolejne i poszły tańczyć. Kiedy wrócili do bufetu, czekał na nie ten właśnie facet, jako znajomy chłopaka. Po drugim drinku dały się namówić na szampana, którego mieli wypić w pokoju hotelowym i omówić zagranie w filmie. Ledwie weszły do tego pokoju Jolce zrobiło się niedobrze więc pobiegła do toalety. Kiedy wyszła, Agnieszka piła szampana i zaśmiewała się jak idiotka. Karol robił jej zdjęcia w różnych pozach. Kolejno też zdejmował z niej jakiś ciuszek, mówiąc, że trzeba wyeksponować co piękne dla potrzeb filmu. Jolce nie spodobało się to. Karol nalał jej szampana, ale nie zdążyła wypić, bo znowu zrobiło jej się niedobrze. Coś z tym drugim

drinkiem było nie tak. Agnieszka też nigdy się tak nie zachowywała. Usłyszała krzyk Agnieszki i jakiś rumor, jakby przewróciło się krzesło. Uchyliła drzwi i zobaczyła, że jej kuzynka leży na ziemi, a z rozciętej głowy sączy się krew.

– *Co jej zrobiliście* – zawołała przestraszona. Wtedy Karol spojrział na nią tak, że przebiegł ją dreszcz.

– *Masz tu szampana, nic jej nie będzie* - burknął. Jolka zdecydowanie odtrąciła kieliszek wyciągnięty w jej kierunku, który wypadł mu z ręki i się rozbił.

– *Ożeż ty!* - warknął Karol, a ten drugi podszedł do niej z tyłu i złapał wpół.

– *Spokojnie dziecinko, tylko zrobimy parę zdjęć. Rozbieraj się. Już!* – rozkazał.

– *Agnieszka... nie żyje chyba...* zawołajcie lekarza...

– *Żyje, żyje. Za dużo wypita. Rozbieraj się. Przecież chcesz być gwiazdą filmową, no nie?*

– *Nie. Nie chcę. Chcę stąd wyjść.*

– *Jak będziesz grzeczna to wyjdiesz. A jak nie...* – pogroził jej palcem z krzywym uśmiechem.

Karol już przygotował aparat i czekał. Facet zaczął się rozbierać. Jolka trzęsła się jak osika i błagała żeby jej nie robili krzywdy, ale oni tylko się śmieli. Próbowwała krzyczeć, ale otrzymała siarczysty policzek od reżysera.

To co było dalej Jolka wolała teraz sobie nie przypominać. Kiedy po paru godzinach doszła do siebie, gości już nie było w pokoju, a Agnieszka dalej leżała na podłodze rozebrana, ale oddychała. Muszą stąd wyjść jak najprędzej, ale jak ją zabrać? Nie ma wyjścia, musi zadzwonić do wujka. Oberwą za to, to pewne! Ale Agnieszka może potrzebuje pomocy medycznej... O Boże! Co

robić? A jak wrócić? Albo jak stoi ten koleś pod drzwiami...? Trudno, nie ma wyjścia. Zadzwoiła i z płaczem przyznała się wujkowi do tego co zaszło. Dobrze, że był w domu i dobrze, że wiedziała gdzie są, bo kto wie co by było, gdyby pomoc nie nadeszła szybko.

Na szczęście Agnieszkę udało się uratować. Okazało się, że w kieliszkach z szampanem rozpuszczone były tabletki gwałtu. Na wniosek wujka sprawą zajął się prokurator. Jednak dziewczyny nie potrafiły nic konkretnego powiedzieć. Nie znały tych facetów. Nigdy wcześniej ich nie widziały. Barman nic nie „pamiętał”, ani dziewczyn, ani tym bardziej z kim by one były. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Po pół roku śledztwo zostało umorzone. Agnieszka na samo wspomnienie dostaje drgawek, a ona cieszy się, że w ogóle żyją. Jednak trauma pozostała.

A teraz widzi gościa i wie, że to był on, ale jak mu to udowodni?

W tym momencie przyszła jej kolejka do wejścia. Jej entuzjazm wyparował. Koleżanka z tyłu popchnęła ją w kierunku drzwi.

– *No, idź! Na co czekasz?*

– *Nie... idź ty... ja nie...* – wyszła z kolejki i usiadła na ławce obok. Chciała już wracać do domu, ale wtedy wyszedł Wiktor Górny z zapytaniem, kto z oczekujących gra na jakimś instrumencie. Nastąpiło wśród dziewczyn poruszenie i mimo woli wszyscy popatrzyli na Jolkę. Tylko ona umiała grać na gitarze. Śpiewała, więc od czasu do czasu musiała sobie akompaniować. Wszyscy w szkole o tym wiedzieli. Jeden z kolegów wskazał Jolkę głową: – *Chyba tylko ona umie* – poinformował Wiktora.

– *A to zapraszam* – zwrócił się do niej.



– *Nie... dziękuję. Ja nie przyszłam na casting* – skłamała Jolka. Dziewczyny zachichotały. Górny podszedł do niej i zlustrował spojrzeniem całą postać.

– *Chodź, masz duże szanse. Co ty jesteś taka przerażona? No, chodź* – To mówiąc wziął ją za rękę i lekko pociągnął. W kolejce znowu odezwały się chichoty.

Weszła do środka na drżących nogach. Jeden rzut oka na gościa upewnił ją, że to ten sam typ. Po rutynowym przedstawieniu się, zadał pytanie ile ma lat. Powiedziała zgodnie z prawdą, że ma piętnaście, co wywołało u niego krzywy uśmiech. Natomiast pani Gertruda prowadziła z nią normalny wywiad, co robi, co umie itd. To, że umie grać na gitarze i śpiewa w szkolnym chórze uznano za plus. Dano jej do wypełnienia jakiś kwestionariusz i coś tam jeszcze do podpisania. Kiedy czytała te papiery Wiktor Górny dosłownie pożerał ją oczami, natomiast reżyser wstał i wyszedł na korytarz.

Jolce odeszła ochota na „bycie aktorką”. Nawet nie zaprezentowała się tak, jak ją przygotowała Magda. Wzięto od niej numer telefonu, obiecując, że zadzwonią przed zdjęciami. I to był koniec przesłuchania. Wychodząc zauważyła, że reżyser na nią czeka. Chciała go wyminąć, ale zagroził jej drogę.

– *No i co mała? Znowu się spotykamy. A nie mówiłem, że mogę z Ciebie zrobić gwiazdę filmową?* - zapytał z beczelnym uśmiechem.

Jolce zimny pot ciekł już po plecach, ale odważyła się powiedzieć.

– *Jak pan mógł? Jest pan...* - zabrakło jej słów.

– *No, no!* – rzucił groźnie – *Cicho siedź, bo zrobię ci inną sławę!*

Jolka wybiegła na zewnątrz roztrzęsiona jak galareta. Usiadła nieco dalej na ławce i się rozplakała.

Dziewczyny, które jeszcze stały w kolejce zaczęły szeptać:

– *Pewnie jej nie przyjęli! I dobrze jej tak! Ślicznotka!*

Powoli się uspokajała, a w głowie jej kształtowała się decyzja. Była zdecydowana nawet ponieść konsekwencje sugerowane przez reżysera. Poszła więc do domu i zatelefonowała do Warszawy.

### III

Po powrocie do Warszawy reżysera odwiedziło dwóch policjantów z nakazem rewizji w mieszkaniu. Znalezione w czasie przeszukiwania mieszkania dowody były aż nadto obciążające. Oprócz zdjęć pornograficznych z udziałem nieletnich, znaleziono również jakieś materiały powiązane z zaginięciem dwóch nastolatków. Pana reżysera aresztowano.

– *Już ja ją urządzę – pomyślał – mam przecież adres... nie będzie trudno ją uciszyć, tę gęś.*

Zdążył jeszcze skontaktować się z Karolem. Popęłnił błąd, bo policja od razu namierzyła i Karola. Jednak zanim można było aresztować i Karola, ten zdążył pojechać do miasteczka. Dwie godziny jazdy. Pestka! Przejechał ulicą, gdzie mieszkała Jolka. Puste ulice, cisza, spokój. Pojechał pod szkołę. Na parterze paliło się światło. Zaparkował i wysiadł. Zajrzał przez okno. Szczęście mu dopisało. W jednej sali było kilka osób. Ćwiczyli jakąś pieśń.

– *Aha! To jest chór. No to i ona pewnie tu jest.*

Była. Zaczekał aż skończy. Młodzi ludzie rozchodzili się szybko. Kiedy wyszła z jakąś koleżanką, podszedł, uklonił się i przeprosił:

– *Pani Jolu, bardzo przepraszam, ale musimy porozmawiać* – powiedział z czarującym uśmiechem.

Jolka zeszytywniała i chwyciła koleżankę za rękę, ale ta nie chcąc być intruzem, rzuciła tylko „cześć” i szybko się oddaliła.

– *Proszę mnie zostawić w spokoju* – szepnęła przestraszona.

– *A nie. Nie mogę* – powiedział i pociągnął ją w stronę samochodu.

– *Puść mnie, bo będę krzyczeć!* – ostrzegła.

Rozejrzał się szybko, czy nikt ich nie obserwuje. Nie. Wszyscy się już rozeszli.

– *Niczego nie udowodnisz i nic nam nie zrobisz. Nawet nie próbuj. Mam piękne zdjęcia. Proszę, obejrzyj je sobie. Jak będziesz niegrzeczna to całe miasto się o tym dowie... ba! Miasto! Internet!*

To mówiąc podał jej sporą kopertę. Na szczęście w drzwiach szkoły pojawił się pan Antoni, aby pozamykać drzwi i zobaczywszy Jolkę z nieznanym mężczyzną zatrzymał się z ciekawością.

Wtedy Karol nie chcąc być zapamiętanym, odwrócił się, szybko wszedł do samochodu i odjechał.

Jolka stała przerażona i bezradna. W drżącej ręce trzymała dużą kopertę...



### III miejsce

Tadeusz Maksimowicz

(Bełchatów)

„Chałwa czy buza?” to udany romans literatury z historią, gdzie „stare fotografie, dokumenty archiwalne, spacery po okolicy oraz wizyty na cmentarzach, mapy i książki działają jak drożdże, spulchniając zakamarki pamięci”. Szukanie śladów z dawnych dziejów zawsze jest inspirujące i twórcze. Tu także odsłania się kawałek historii zupełnie nieznaney, za co autorowi należy się nagroda.

#### Chałwa czy buza?

Młodemu podchorążemu Antoniemu, po roku w grodzieńskiej podchorążówce, w czerwcu 1938 roku przychodzi podsumować to wszystko z czym miało się do czynienia przez dziesięć miesięcy. Podsumowaniem kursu są egzaminy i letnia praktyka w macierzystej jednostce. Sprawny fizycznie, bystry umysłowo dwudziestotrzylatek bez trudu radzi sobie i z egzaminem i prowadzeniem drużyny strzelców jako kapral podchorąży. 10 września 1938 roku wraca do swojego Zabłudowa, gdzie czeka go mieszkająca w jego domu, jako przydziałowa lokatorka, skierowana z Mławy do pracy w zabłudowskim urzędzie pocztowym, jego ukochana Mirunia. Właściwie wcale się nie znali, byli razem kilkanaście godzin a przecież wyraźnie widać było, jak to się mówi „gołym okiem”, że są dla siebie. „Zakochani mają

oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą” mówiła Irena – siostra Antosia a moja cioteczka. Jako osoba pracująca, wspierała brata finansowo, by stać go było zabrać dziewczynę do Białegostoku, do kina lub jakiejś kawiarni. Oboje lubili chałwę a Białystok z niej słynął.

*Księga Adresowa Polski dla Handlu, Przemysłu, Rzemiosł i Rolnictwa 1928*; kolejny dokument, który samym tytułem przyciąga jak lep „poszukiwaczy”, chcących się dowiedzieć, co robił ich ojciec, dziadek lub pradziadek, a co za tym idzie, kim był? Postępująca digitalizacja i zapal ludzi, którzy ją realizują umożliwiają genealogom znacznie prostszy wgląd w dokumenty archiwalne. Archiwa się otwierają, bez uszczerbku dla archiwaliów a technika powoduje, że można je oglądać, czytać, interpretować a nawet skopiować sobie do własnego, domowego archiwum, siedząc we własnym domu, przy własnym biurku. Fanfary i chóry niebieskie hejnał otwarcia grają i śpiewają, a ja jednym kliknięciem porzucam rzeczywistość i powoli, powoli przenoszę się w miejsca, w których nigdy nie byłem, obrazy, których nigdy nie widziałem, emocje, których nigdy nie przeżyłem. Fabryki, manufaktury, wytwórnie, właściciele ziemscy, akuszerki, garncarze, rymarze, bednarze, kowale i zegarmistrze. Otwierają się podwoje zakładów fotograficznych – fotografia artystyczna Lipszyca, Conrada czy braci Szapiro, gdzie nawet przeciętne twarze, nabierały wyrazu, czasem tajemniczości, czasem dostojeństwa, bo to my po wielu latach, oglądając te cuda, przestrajamy siebie na dziwne częstotliwości, niezwykle fale odbioru, wyłapujące ich ponadczasowość i niezwykłość, często niczym nieuzasadnioną.

Pojedyncze słowa, bywa że dla młodszych niezrozumiałe, ukazują miejsca, atmosferę, różnorodność ówczesnego życia: bławaty, cukry, gilzy, herbaciarnie, kawiarnie, kinematografy, zakłady kąpielowe, kiszki zwierzęce, koleжки normalne i wąskotorowe, maszyny młyńskie i parowe, sikawki pożarowe, zduni i złotnicy, piwo, cukiernie oraz chałwa i buza. Chałwę mamy i dziś, ale buza? Większość nawet nie wie, co to słowo oznacza. A przecież z ust naocznych, no może „naustnych” świadków wiem, że dopiero oba te smaki, chałwy i buzy, połączone razem dawały językowi rozkosz niebiańską.

Jestem posiadaczem fotografii: Białystok, maj 1939 roku, ulica Kilińskiego. Dwoje młodych ludzi jest kilkadziesiąt metrów od Hotelu Ritz, dokąd to ten pan – nasz podchorąży Antoni – prowadził swoją dziewczynę do restauracji hotelowej, właśnie na chałwę z buzą lub na buzę z chałwą. W Ritzu, jak opowiadał Antoni, zamawiał dwie potężne porcje chałwy i szklanice z buzą. Kiedy tak mlaskali z zachwytu, a buza buzowała, świat coraz szybciej stawał na głowie i mimo, że wojna skończyła się niecałe dwadzieścia lat temu, wszystko wskazywało na to, że tych dwoje, ponownie będzie musiało na siebie czekać.

Chałwa była i jest moim ulubionym przysmakiem i najlepsza jaką jadłem do tej pory (bez buzy), to chałwa macedońska przywieziona aż z Salonik. A skąd pochodzili Macedończycy, którzy trafili do Białegostoku w ramach ruchów migracyjnych początku XX wieku, tego nie wiem. Ojciec mówił „Makiedońcy” i tak mówiło wielu białostoczan.

Pierwsi, którzy zajmowali się w Białymstoku buzą i chałwą byli Biso Pejkow i Najdo Stojanovič, później bracia Boszkow, gdzie Fancze zajmował się lokalem i wyrobem chałwy a jego brat

(imienia nie odnalazłem) był specjalistą od buzy. Specjały te białostoczanie polubili tak bardzo, że otwarto wiele buzni, a podawano je również, w restauracjach, kawiarniach i cukierniach. Jakób Szwarz wraz z Owsiejem Epsztajnem na ulicy Żydowskiej 22 prowadzili wyrób chałwy na skalę uruchomionej fabryki, a specjalistą od buzy stał się Mikołaj Murawiejski, u którego, na ulicy Lipowej, pod numerem 23, podawano jedną z najlepszych buz w całym Białymstoku.

Czytam, że obecnie, w Białymstoku, jest coraz więcej miejsc, gdzie można delektować się tymi specjałami. Potrafił Murawiejski to i pewnie znajdzie się współczesny buzowar, który odnajdzie tradycyjne smaki i klimaty. „Kto nie pije buzy, to ma w głowie luzy” hasło promocyjne, białostockiego dziennikarza, znawcy dziejów Białegostoku, autora licznych publikacji poświęconych dziejom miasta i jego zabytkom, doświadczonego muzealnika i niezrównanego gawędziarza. Prasa białostocka uznała Pana Andrzeja za wielkiego propagatora napoju pod nazwą buza (w oryginale *boza*). Wraz z innymi smakoszami tego napoju robią wszystko, by buza stała się znów tak popularna, jak kiedyś w dwudziestoleciu międzywojennym.

Co to jest ta buza? Otóż, jest to lekko sfermentowany napój bezalkoholowy, charakterystyczny dla kuchni krajów bałkańskich. Jest znany i produkowany w Bułgarii, Macedonii, Grecji, Albanii i Turcji. Przyrządzany jest ze sfermentowanej kukurydzy, pszenicy lub prosa. Ma on gęstą konsystencję i bardzo niską zawartość alkoholu (zazwyczaj około 1%), oraz lekko kwaśno-słodkawy smak. Ta białostocka buza, była robiona z prosa, czyli z kaszy jaglanej.



I tak powspominaliśmy sobie i czasy i miejsca i ludzi; tylko w dalszym ciągu nie wiem, czy buzę podaje się do chałwy, czy chałwę do buzy. Miły, słodki temat usadowiony czasowo w okresie, kiedy nastroje na świecie nie były wcale ani miłe, ani słodkie, pachniało nie migdałami dodawanymi do chałwy a najprawdziwszą kolejną wojną. Jeśli wojna może mieć zapach.



UTWÓR WYRÓŻNIONY  
W KATEGORII OGÓLNEJ  
W DZIEDZINIE PROZY



## Wyróżnienie

Jolanta Maria Dzienis

(Białystok)

Utwór „Grzeszne uroki kobiecości” wyróżniamy za pokazanie, że kobiecość niejedno ma imię, a także za śmiały literacki opis historii uwodzenia. I za przypomnienie, że to literatura ma niebagatelny wpływ na to, jak rozwija się i kształtuje człowiek. A także za pointę, która mimo, że może wydać się tylko literackim zabiegiem – tak często staje się dramatem wielu kobiet.

### Grzeszne uroki kobiecości

Odkąd pamiętam, świat książek był mi bliższy, niż otaczająca rzeczywistość. Nie pamiętam, kiedy i jak nauczyłam się czytać. Mając niespełna pięć lat, nie potrzebowałam już pomocy dorosłych do zgłębiania treści pięknie ilustrowanych bajeczek. Z każdym miesiącem przybywało pozycji, do których co raz to wracałam, w zależności od nastroju i potrzeby chwili. Dzięki „Zajączkowi z rozbitego lusterka” Heleny Bechlerowej na początku mojej przygody z literaturą i „Pollyannie” Eleanor H. Porter, w jakiś czas potem, pokochałam tęczę. Przez lata nie rozstawałam się z „Dziećmi z Bullerbyn” Astrid Lingren, z Juliuszem Verne’em zgłębiałam tajniki nieznanych światów, Stanisław Lem wprowadził mnie w arkania science fiction, a „Wędrowcy

świata” Karla Gjellerupa otworzyli mi oczy na filozofię wschodu.

No i w końcu cykl książek Colette o Klaudynie. Niesamowite doznanie! Nie mogłam oderwać się od lektury. Zafascynowało mnie francuskie miasteczko Montigny, położone amfiteatralnie nad Tezą, jego mieszkańcy stali się moimi sąsiadami, z główną bohaterką chodziłam do szkoły, płatałam figle uczniom i nauczycielkom, dorastałam w Paryżu, jeździłam do wód. Z wypiekami na twarzy poznawałam grzeszne uroki kobiecości. I ten właśnie cykl stał się źródłem zaskakującego wydarzenia. Jakiego? Zanim zaspokoję waszą ciekawość, muszę z początku przedstawić Zuzankę.

Można o niej całą noc opowiadać, a i to będzie za krótko. Siedemnastoletnia nimfomanka i lekomanka o wyzywającej urodzie. Gdy ją poznałam, wywierała wrażenie romantycznej, zagubionej wśród zwykłych spraw i zwykłych ludzi. Nic bardziej mylącego! Z brzydkiego kaczęcia wyrosła na rusalkę o nierozbudzonym, a więc pozornie małym, mózdzku i pewnym talencie plastycznym, który zmarnowała, gdyż poświeciła go tylko i wyłącznie dla podkreślenia swojego i tak wystarczająco efektownego wyglądu.

Każdemu spotkanemu mężczyźnie, najczęściej zonatemu, bo z nimi według niej bezpieczniej jest się zadawać, powtarzała, patrząc w oczy i trzepiąc długimi rzęsami:

*– Och, gdy spotkałam kogoś z kim mogłabym spędzić życie, to on jest już zajęty, och!*

Mężczyźni, jak to mężczyźni, ujmowali ją za rękę, nie biorąc tych słów na serio, prowadzili w ustronne miejsce i po zaspokojeniu swoich potrzeb, zostawiali, z takim lub innym prezentem na

pożegnanie. Ponawiali ten proceder w różnych okolicznościach, traktując Zuzankę jak przysłowiowe pogotowie seksualne.

Nikt nie brał jej poważnie. Nikt, z wyjątkiem Kamila, jej narzeczonego, i nieudacznika Ferdka, mojego znajomego z lat szkolnych.

Ten pierwszy, świetnie sytuowany mimo młodego wieku, brunet, obdarzony uroczym głosem, dobrze zbudowany, ale brzydal jakiego świat nie widział, ufał jej bezgranicznie i był z niej bardzo dumny. Wszystkim bliskim znajomym powtarzał do znudzenia:

*– Gdy idę z nią plażą i widzę jak wszystkim faciom staje, to wiem, że to ja ją posuwam, a nie oni!*

Dosłownie, wulgarnie i dosadnie.

A Ferdek? Zadufany w sobie, pozorant i egoista, myślący tylko penisem, musiał, jako taki, przyjmować jej słowa za dobrą monetę. Ale niestety, był dla niej „za słaby w uszach”, ani za bogaty, ani za przystojny, bez żadnych realnych perspektyw rozwoju. Po prostu jeden z wielu.

Zuzanka była jak kociak spragniona i pieszczot, i uznania otoczenia. W pewnym sensie stanowiłam dla niej pewien autorytet. Starsza, mężatka, z racji pełnionych funkcji społecznych mająca świetny kontakt z jej grupą rówieśniczą, no i ocytana. Podsuwałam jej różne książki, gdyż zorientowałam się szybko, ile potencjalnych możliwości usunięcia niedociągnięć kryje się za jej pokazową maską. Któregoś dnia coś mnie pokusiło, aby dać jej do przeczytania wszystkie cztery tomy Klaudyny. I to właśnie, błahe z pozoru, wydarzenie stało się podłożem dzisiejszego opowiadania.

Kiedy Kamil z rodzicami wyjeżdżał za granicę w celach handlowych, Zuzanka pilnowała ich mieszkania. Podlewała kwiatki, karmiła rybki. Nocowała tam.

Któregoś wieczoru, gdy mój mąż miał nocny dyżur, zadzwoniła z prośbą o pomoc. Błagała żebym przyszła. Bała się, bo ktoś wałęsał się po klatce, stukał do drzwi i szeptał coś niecenzuralnego przez dziurkę od klucza. Jako że mieszkanie jej narzeczonego znajdowało się na sąsiedniej ulicy, a intonacja głosu Zuzanki i nieskładność jej słów sugerowały, iż znowu wzięła coś niedozwolonego, a co, niestety, ostatnimi czasy zdarzało się często, poszłam tam bez namysłu.

Zanim zapukałam, drzwi się uchyliły, mała szelma czyhała przy wizjerze! Rozszerzone źrenice jej błękitnych ocząt powieździały mi, że miałam rację, znowu znalazła dostęp do jakichś leków. Ubrana była w lekką, zwiewną, fioletową, etaminową sukieneczkę, zapinaną na perłowe guziczki, które połyskiwały tęczowo w świetle lamp klatki schodowej. Z westchnieniem ulgi i jakiejś dzikiej radości, schwyciła mnie za rękę, zatrzasnęła drzwi wejściowe i pociągnęła w stronę sypialni rodziców Kamila.

Wersalka była rozłożona, nakryta patchworkową kapą w różnych odcieniach żółci i zasypana stosem kolorowych, haftowanych poduszek, w których lubowała się matka chłopaka. Stojąca w kącie pokoju lampa, przykryta zarzuconą na abażur czerwona apaszka, sączyła delikatną różową poświatę. Na toalecie pełgały ogniki zapachowych świeczek, odbijając się wielokrotnie w trzyczęściowym, kryształowym lustrze, rozsiewając odurzający zapach wanilii i owoców cytrusowych. Weszłam, rozglądając się w osłupieniu, taka gala dla mnie?! Nie miałam zbyt wielu chwil na kontemplację, bowiem Zuzanka, stojąca tuż za



moimi plecami, pchnęła mnie gwałtownie, tak że upadłam na łóżko, ona zaś rzuciła się obok i kurczowo objęła mnie za szyję. Trzymała tak mocno, przytulając się z całej siły, że po pierwsze, czułam wyraźnie, iż pod sukienką nie ma bielizny, a po drugie, musiałam użyć siły, żeby rozpleść jej ręce i wyzwolić się z uścisku.

Sytuacja, w jakiej się znalazłam wcale nie przypadła mi do gustu. Zuzanka wybuchnęła płaczem. Szlochając, mamrotała coś o miłości, pięknym związku kobiet i tym podobnych nie-dorzecznościach, zaczerpniętych żywcem z książki Colette. Nie mogłam zostawić jej samej, gdy tak histeryzowała. Musiałam ją uspokoić. Dałam jej symbolicznego, matczynego klapsa i mówiłam uspakajająco o absurdalności całej tej sytuacji. Wzięłam chusteczkę do ręki, usiłując otrzeć zapłakane oczy i zasmarkane policzki. Wtedy Zuzanka schwyciła moją rękę jedną dłonią, drugą szarpnęła przód sukienki, która rozpięła się na całej długości. Guziczki okazały się atrapą, a prawdziwym zapięciem były zatrzaski, ukryte w ozdobnej plisie. Moja ręka kierowana jej gwałtowną, niecierpliwą dłonią, znalazła się na jednej z jej piersi, maleńkich, ale kształtnych, z jasnoróżowymi sterczącymi brodawkami. Zamurowało mnie. Patrzyłam bez słowa na jej szczupłą nagość, na płaski brzuszek z wklęsłym pępuszkiem i na burzę złocistych kędziorków, porastających wypukły wzgórek.

Zuzanka zauważyła moje badawcze spojrzenie i rozchyliła zachęcająco uda. Rzuciła mi zatrwożone, kuszące, pełne obietnic spojrzenie. Jej kurczowy uchwyt zelżał. Wyswobodziłam rękę i powoli, zatrzaska po zatrzasce, zapięłam sukienkę. Patrzyła na mnie bez słowa zamglonym wzrokiem. Zrozumiała, że nie otrzyma tego, co zamierzyła, mimo że tak wszystko ślicznie przygotowała. Zapłakane oczy zamknęły się powoli i po chwili

moja niedoszła kochanka spała. Dawka leków, którą przyjęła, rozstrzygnęła niejako za mnie. Czuwałam nad nią do świtu. Gdy się ocknęła, zdawała się nie pamiętać, co wydarzyło się w nocy. Tydzień później uwiodła mi męża.

UTWORY NAGRODZONE  
W KATEGORII SPECJALNEJ „#KIEDY  
ZOSTALIŚMY W DOMU”  
W DZIEDZINIE POEZJI



## I miejsce

Marek Góryniewicz

(Kleosin)

Pandemiczna metafora tęsknoty za normalnością i kontaktem z przyrodą, zgrabnie ujęta w poetyckie opowiadanie o izolacji. Wzruszająca potrzeba bliskości każe poecie zwierzyć się ze swoich ograniczeń. Przemawia do czytelnika piękną metaforą.

### Inny zielony maj

teraz oprowadzę cię  
mój lesie  
nie nie zakładaj maski  
stań dwa metry od mojego uśmiechu  
z pragnieniem spaceru drzew

w gumowych rękawiczkach wkładam chleb  
powszedni dzień zraniony ciszą  
i płyn do dezynfekcji rąk  
dziś nie boję się witać tylko zwierząt

zazieleniłeś się przepięknie pachniesz wiosną  
której nie ma tu jest w snach  
zaraziliśmy się światem którego nie ma  
amen przez wielkie A

dziś w nowej szafie Diora  
bursztynowa maseczka z ozonowym sprayem  
wirtualny skalpel przecina rzeczywistość  
w każdą stronę marzeń

## II miejsce

Irena Słomińska

(Białystok)

Już pierwszy wers sugeruje, że będzie to porównanie nieporównywalnego. I tak czytelnik wprowadzony jest w wizję poetki. W jej obawy, niepokoje, ale też nadzieje. Poezją wyrażone wspomnienie, poezją opisana terażniejszość.

### Lustra

Porównać nieporównywalne –  
Koniec I wojny światowej, dwa rodzaje umierania.  
W okopach od kuli i cichy podstępny: wirus.  
Natura ustawiła lustra. W nich skrzydlata śmierć,  
ewoluuje jej twarz, płoną usta.  
Flamenco. Taniec ogarnia przestrzeń przeżywania,  
grzechocą kosteczki.  
Straszna i piękna jest hiszpanka. Katakлизм  
po katakлизmie. Czy ludzie w lustrach zobaczyli nie swoją,  
ale obcą twarz? Na niej grymas.  
Uśmiech kielkuje strachem, strach kielkuje wiecznością.  
I uśmiech zwycięża.  
Sto lat mija. Natura znowu ustawiła lustra.  
W nich przeglądają się: człowiek, śmierć, świat.  
Świat, wzburzone morze emocji. Na nie próbuje

wpłynąć statek ocalonych, zagrożonych. Krzyczą.  
A w lustrach grymas – niejednoznaczne człowieczeństwo.  
Nim nas ukoronowano. Gdy tak naprawdę zawsze  
żyliśmy, ślepi – ukoronowani śmiercią.  
A większość z nas, osamotniona, cichutko uprawia  
sвій ogródek – trudne szczęście. Zawiesza  
na niebie tęczę – nadzieję.  
Czy już po deszczu? Czy nadejdą burze?



### III miejsce

Beata Kulaga

(Białystok)

Związła, choć zachwycająca automatyka czynności, kiedy świat zamarł w bezruchu. Trzeźwe spojrzenie na teraz, żeby jutro wróciło i rozgościło się jak dotąd, zwyczajnie. Wspaniały klimat, poezja w czystej postaci.

#### idealny porządek

poukładać dokumenty zdjęcia książki  
przejrzeć ubrania – oddać czego nie noszę  
zostawić po sobie porządek

zapisać nauczyć przekazać  
przytulać darować swój czas  
i pisać pisać pisać  
pozostawić po sobie ślad

snuć plany marzyć śnić  
przetrwać by znów bałaganić  
żyć



UTWORY NAGRODZONE  
W KATEGORII SPECJALNEJ „#KIEDY  
ZOSTALIŚMY W DOMU”  
W DZIEDZINIE PROZY



## I miejsce

Jolanta Maria Dzienis

(Białystok)

Utwór „W smudze światła” nagradzamy za umiejętność dostrzeżenia metafizyki w codziennym życiu i ciekawą próbę poznania prawdy o naturze wszechświata. A także przypomnienie, że literatura jest szczeliną, w której oba światy – realny i nierealny – można pięknie połączyć.

### W smudze światła

Drugi dzień czwartego tygodnia przymusowej kwarantanny. A może czwarty drugiego? Eee, raczej to pierwsze. Ale pewna nie jestem. Dawno straciłam rachubę. Kalendarze kłamią, zegary też, zmysły płatają figle. Widzę to, co niemożliwe. Słyszę dźwięki, które nie mogą istnieć w normalnym świecie. Zwariowałam?

To pierwszy raz, kiedy jestem tak długo zamknięta w swoim mieszkaniu. Nigdy nie mogłam tu usiedzieć dłużej, niż to konieczne. Zawsze gdzieś pędziłam, z ulgą zamykając za sobą drzwi. Pamiętam dobrze moment, gdy przekraczałam po raz pierwszy jego próg. Przekreśliłam klucz w zamku, nacisnęłam klamkę i... to wszystko. Ogarnięta irracjonalnym strachem, unemożliwiający oddychanie, zamarłam w pół kroku. Cofnęłam gwałtownie stopę, zrobiłam w tył zwrot i byłabym uciekła w popłochu, gdyby nie partner, stojący tuż za mną.

– *Co robisz wariatko, uważaj* – krzyknął chwytając mnie za ramię.

– *Nie chcę tu być* – wykrztusiłam z trudem.

– *Ty zawsze musisz odstawiać jakieś cyrki* – wycedził z ledwo hamowaną złością.

Pchnął mnie silnie w plecy i tak przesłam, a raczej przeleciałam przez próg.

Mieszkanie, w stanie surowym, straszło nierównym, chropowatym betonem. Powietrze w przedpokoju pachniało słodko nadgniętymi jabłkami.

– *Co u licha?* – dobiegło mnie zza pleców zdumione sapanie towarzysza.

Nie odpowiedziałam. Przecież nie wiedziałam, a domniemywać nie miałam zamiaru. Strach, który dopadł mnie na klatce, zelżał z lekka, ale i tak bardzo ostrożnie i nieufnie obesłam wszystkie pomieszczenia. Nigdzie żywego ducha, ani śladów po czymś, co mogło ten zagadkowy aromat roztaczać. W pewnym momencie kątem oka złapałam nieuchwytny ruch, a uszy złowiły dziwny chrobot. Odwróciłam się gwałtownie w stronę zjawiska, lecz zobaczyłam tylko szorstką, szarą ścianę. Żadnych owadów, czy gryzoni.

Do wykończenia lokalu wynajęłam ekipę fachowców. Stać mnie było na to. Ostatecznie odziedziczyłam spory spadek po dziadku. Wprawdzie partner wolalby te pieniądze wydać na podróże i rozrywki, lecz, ku jego niemiłemu zdziwieniu, byłam nieugięta. Od tego zaczęły się sprzeczki i nieporozumienia. I gdy mieszkanie było gotowe, wprowadziłam się do niego sama. To było chyba najlepsze rozwiązanie.

Przez dwa pierwsze miesiące nie działo się nic niezwykłego. Bo to, że gubiłam różne przedmioty, które znajdowałam później w najbardziej absurdalnych miejscach, kładłam na karb roztrągnięcia. No i zagonienia. Miałam przecież mnóstwo obowiązków poza pracą. Do domu wpadałam jak po ogień, żeby wykapać się i przebrać. Posiłki, oprócz śniadań, jadłam „na mieście”.

No a na początku trzeciego miesiąca zaczęły mnie męczyć dziwaczne sny. Niekoniecznie koszmary. Raczej powiedziałabym – sny prorocze. Bo mniej więcej takie były. Dotyczyły drobiazgów. Na początku je lekceważyłam. Kiedy jednak dzięki nim udało mi się uniknąć kilku niemiłych zdarzeń, zaczęłam na nie czekać. Bowiem nie każdej nocy do mnie przychodziły.

Któregoś razu, z piątku na sobotę, wyśniłam las sosnowy, z przecinką porośniętą żywokostem, z młodą brzoźką u jej skraja. Do drzewa przywiązany był wynędzniały czarno-rudy psiak. Maluch leżał bez ruchu, ale widać było, że jeszcze oddycha. Po przebudzeniu, ubrałam się szybko i ruszyłam na wyprawę. Zdawałam sobie sprawę, że las za moim osiedlem ciągnie się po horyzont i próba odnalezienia szczeniaka najprawdopodobniej skończy się fiaskiem, ale coś mi kazało pójść. No i uwierzcie?! Znalazłam ją! Malutką sunię airedale teriera z króciutkim, niezagojonym jeszcze kikutem odrąbanego brutalnie ogonka. Była tak słaba, że nie otworzyła nawet ślipków, gdy zawinęłam ją w kocyk i włożyłam do obszernej torby podróżnej. Weterynarz, do którego ją zawiozłam, nie dawał jej wielu szans na przeżycie. Ale udało się. I tak zamieszkałyśmy we dwie. Brzoźka i ja.

Z początku bała się zostawać sama w domu, piszczała żałośnie, odprowadzając mnie do drzwi. Ale nie urządziła awantur. Pyta-

łam sąsiadów, czy słyszą jej wycie podczas mojej nieobecności. Nikt się nie skarżył.

Miejsce na legowisko wybrała sobie sama. W rogu między dwoma przedpokojkami. Były też punkty w mieszkaniu, których unikała. Czasami wręcz na nie powarkiwiała. Dlaczego? Mogę się tylko domyślać, szczególnie po kilku znamiennych zdarzeniach. Jakich?

Otóż pewnego dnia, po porannej przebieżce, po spałaszowaniu śniadania, Brzózka zmęczona zasnęła, a ja przysiadłam w kuchni z książką w rękę, czekając na zagotowanie się wody. Nagle dobiegł mnie głośny dźwięk, jakby ktoś miał i rozrywał celofan, a później delikatny stukot deszczu bębniącego o parapet. Zerwałam się ze stolka i wbiegłam do przedpokoju. Nic podejrzanego nie dostrzegłam. Lecz sunia, w pozycji półprzysiadu, z nastawionymi uszkami, rozglądała się z uwagą wokół. Ona też to usłyszała! Po chwili sapnęła cichutko i znowu się położyła. Wróciłam do kuchni i usadowiłam się na taborecie. Nim sięgnęłam po lekturę zauważyłam dużego, perlowo-białego pająka, który spuszczał się z lampy na grubej, srebrzystej nici i po osiągnięciu podłogi, ruszył prosto na mnie! Odruchowo przydeptałam go lewą stopą. Gdy ją podniosłam, po owadzie nie było śladu, a po terakocie potoczyła się perelka, jakby ze zerwanego sznura koralu. Podniosłam ją i dokładnie obejrzałam. A nawet, metodą Brzózki, obwąchałam. Pachniała zwietrzałymi, konwaliowymi perfumami.

Schowałam ją pieczołowicie do zamykanego na zameczek pudełka.

To nie było przywidzenie, materialny ślad wydarzenia zobligował mnie do poszukania wyjaśnień. W jakimże to miejscu



zamieszkałam? Szukając odpowiedzi, przekopałam archiwum miejskie, odnalazłam nazwisko rodziny, przez wiele lat mającej w posiadaniu grunty, na których zbudowano mój wieżowiec. Udało mi się zorganizować spotkanie z ostatnim żyjącym jej przedstawicielem. Dziarski staruszek chętnie podzielił się swoją wiedzą. I co się okazało? Według przekazów rodowych, ta ziemia była przeklęta. Nikt nie odważył się jej uprawiać, bo wszystkich chętnych odstraszały „duchy” i dziwne dźwięki, dobiegające jakby spod ziemi. Toteż kiedy padła propozycja sprzedaży gruntów, rodzina bardzo chętnie się ich pozbyła. Podobno później, podczas kopania fundamentów, odkryto jakieś artefakty, kości i fragmenty naczyń, które jednak zniknęły w tajemniczych okolicznościach.

Trudno mi było uwierzyć w duchy, toteż zastanowiłam się nad alternatywnym rozwiązaniem. I tu przypomniała mi się teoria światów równoległych. Ponoć są miejsca, w których zasłona rozdzielająca wymiary jest cienka i krucha. Łatwa do przekroczenia dla ludzi, obdarzonych nadprzyrodzonymi umiejętnościami. No, ja do nich na pewno nie należałam, ale moje mieszkanie, biorąc pod uwagę wszystkie wspomniane wydarzenia, mogło być miejscem „przejścia”. Tym bardziej, że podczas przenikania przez barierę, czasoprzestrzeń prawdopodobnie doznawała mikropęknięć, a towarzyszyły temu dźwięki rozdierania.

Podniecona swoją teorią, postanowiłam dokładniej przyglądać się temu, co działo się na moich metrach kwadratowych. Chciałam mieć więcej dowodów na metafizyczność zdarzeń, nim odważę się podzielić się nimi z innymi. No i klops. Niezwykle zdarzenia ustały, sny stały się na powrót tylko snami. Tak jakbym to sobie tylko wymyśliła, albo, co też możliwe,

ktos, gdzieś tam, w innej przestrzeni, przestraszył się ujawnienia. Został mi tylko koralik, na który koty koleżanki złowieszczo prychały.

Lata mijały. Sunia odeszła do psiego raju, ja brawurowo wkroczyłam w wiek emerytalny. Przyniósł mi on więcej czasu na spełnianie marzeń, na podróże i zgłębianie tajników zaginionych kultur starożytnych. Ciągle bowiem wierzyłam, że znajdę gdzieś racjonalne wyjaśnienie na to, czego doświadczyłam bezpośrednio po przeprowadzce. Niestety, niczego nie ustaliłam. Przybywało mi tylko coraz więcej znaków zapytania.

Tak było do momentu ogłoszenia pandemii. Myję dokładnie ręce, dezynfekuję zakupy, zakrywałam twarz maseczką i oczywiście pozostaję karnie w domu. Nie liczę na żadne rewelacje. A tu niespodzianka! Znowu się zaczęło! Dziwaczne sny powróciły, tym razem złowieszcze. Wybudzam się z nich na siłę, złana zimnym potem, a gdy zasypiam ponownie, wracają do mnie od punktu, w którym im się wyrwałam. Spod poduszki słyszę gwar rozmów.

Zza ściany dochodzi orientalna muzyka, dzika i niepokojąca. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że moi sąsiedzi przebywają za granicą. Nikt tam nie mieszka. Wiem to dobrze, zostawili mi klucze. Dbam o rośliny, wietrzę pokoje.

Coraz częściej znikają mi rzeczy, a potem znajduję je w miejscach, które wielokrotnie przeszukiwałam. Żeby nie popaść w obłęd, zaczęłam zapisywać, co się zapodziało, gdzie szukałam i gdzie oraz po jakim czasie je znalazłam. Niedowiarkom mogę pokazać notatki. Przedwczoraj wieczorem usłyszałam z kuchni przytłumiony huk. To na podłogę spadła kilogramowa paczka nadziejanych galaretek. Dałabym sobie głowę uciąć, że zostawi-

łam ją na środku stołu! Torebka pękła, cukierki rozsypały się po terakocie. Pozbierałam je pieczołowicie i zważyłam. Zgadnicie? Brakowało prawie trzydziestu dekagramów!

Przechodząc korytarzem zauważyłam, że na ścianie przy drzwiach wisi jakiś obcy kalendarz. Nie mój, z sielskimi pejzazami, ale taki z potworami morskich głębin. Osłupiałam. Pomknęłam po telefon, żeby zrobić mu zdjęcie, ale kiedy przybiegłam z powrotem, znowu wisiał ten „stary”. Tyle tylko, że zniknęło z niego okienko, którym zaznaczam daty.

Wczorajszej nocy obudził mnie dziwny trzepot. Gdy nieprzytomna usiadłam na łóżku, coś kosmatego otarło mi się o twarz. Wrzasnęłam z całych sił! Chwyciłam komórkę, zapaliłam latarkę. Przed moim nosem fruwała wielkości dłoni, ogromna ćma. Nie wiem, skąd się wzięła, wszystkie okna mam pozamykane. Zanim zdecydowałam, co z nią zrobię, od strony przedpokoju pojawił się złoty promień. Owad, jak zaczarowany, poleciał w jego kierunku i nim dotarł do ściany, rozpląnął się w smudze światła. Szczękając zębami ze strachu, wygramoliłam się z łóżka i podeszłam do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą widziałam ćmę. Drżącą rękę uniosłam w stronę pulsującego blasku. Poczulałam delikatne mrowienie, prawie łaskotanie. Z niedowierzaniem zobaczyłam, jak palec po palcu dłoń zagłębia się w nicość. Gwałtownie odskoczyłam do tyłu. Z dala od światła dłoń znowu była kompletna.

Cały dzisiejszy dzień spędziłam na przemyśleniach. Jeszcze raz rozważałam wszystkie teorie, które snułam od czasu wprowadzenia się do mojego mieszkania. Zrozumiałam, że dojrzałam do ostatecznej decyzji. Jeżeli smuga światła znowu się pojawi, wejść w nią. Muszę poznać prawdę o naturze wszechświata. Swoje

zapiski zostawiam na biurku przy komputerze. Jeżeli je znajdziecie, a mnie nie, to będzie oznaczało, że w końcu przekroczyłam nieuchwytną barierę czasu i przestrzeni.

I że nie zwariowałam.

## II miejsce

Marzenna Lewandowska

(Bydgoszcz)

List „Najmilszy Stasiu...” jest przypomnieniem, że samotność związana z izolacją może być pretekstem do sięgnięcia po zapomnianą nieco formę kontaktu czyli pisanie listów. Epistolografia to również nauka młodych pokoleń, żeby nie tylko oglądali, ale również zapisywali swój świat.

### Najmilszy Stasiu...

Pewnie dziwi Cię ów zwrot poufały, ale – możesz mi wierzyć – niekiedy mam wrażenie, że znam Cię równie dobrze, jak znałabym własnego brata, gdybym go miała. A wszystko za sprawą Babci Marii. Pamiętasz ją, prawda? Tę wszędobylską Maniusię, z buzią obsypaną piegami i nieujarzmioną gęstwiną loków, które ani myślały wyglądać jak włosy innych dziewczynek. A skąd! Zamiast lśnić gładko w warkoczach, wymykały się z nich na wszystkie strony i tworzyły wokół głowy właścicielki rozmigotaną aureolę. Tym bardziej, że owa właścicielka, zdyszana jak nieboskie stworzenie, bez przerwy za Wami biegała. A to za miasto na kupieckie kramy, a to na tajne spotkania Gniazda Orłąt; a nawet – wbrew kategorycznym zakazom dorosłych – nawet nad Oszmiankę w niedzielne popołudnia. Mimo iż (zwłaszcza wczesną wiosną) rzeka wzbierała i potrafiła być niebezpieczna.

Przypominasz sobie Maniusię, Stasiu? Uprzykrzoną jak mu-cha, rudą siostrzyczkę Jerzyka, twojego druha od kołyski. A że wzrastaliście razem, to po trosze jakby i Twoją siostrę, prawda? Nieustannie się od niej opędzaliście, i to czasem tak, że aż ksiądz Walerian, ten z kościoła Świętego Michała Archanioła, musiał przykracać Wasze psie figle.

Aż nagle, nie wiedzieć, kiedy Manusia wyrosła i z rozbrykanej prawie-siostry przeistoczyła się w śliczną dziewczynę o ogromnych, rozmarzonych oczach. I przestała za Wami ganiać i niewiele się nawet do Was odzywała. Nie wyczekiwała też już przed szkołą na Żuprańskiej aż pojawicie się na obtłuczonych schodach. Zresztą zdaliście akurat małą maturę i nadeszły wakacje, pamiętasz? Wasze ostatnie wspólne wakacje. Był rok 1939...

Nie masz pojęcia, Stasiu, do jakiego stopnia uwielbiam te opowieści. Babcia Maria z uśmiechniętymi oczami i rumieńcami na szczupłych policzkach, mówiąc o Tobie z całą pewnością wygląda jak tamta Manusia z Waszych oszmiańskich lat. Mimo iż włosy (wciąż tak samo niesforne!) ma już zupełnie srebrne, a na twarzy ani jednego piega. Lubieś te jej piegi, pamiętasz? Powiedziałeś kiedyś, że przypominają Ci garść rozsypanych rodzynek, i że ciekaw jesteś, jaki mają smak. Ale nie sprawdziłeś. Chociaż stałeś wtedy bardzo blisko mojej zawstydzonej Babcii; kto wie, czy nie bardziej onieśmielony niż ona.. Wakacje miały się ku końcowi, a Wy poszliście nad Oszmiankę po raz pierwszy zupełnie sami, bez Jerzyka, we dwoje tylko. Powietrze przepojone było słodkim zapachem sierpnia, Manusia miała na sobie nową sukienkę; w jej włosach odbijały się gorącym echem ostatnie promienie słońca, a wśród ziół na pobliskich łąkach powolutku

wykluwał się zmierzch. Pochyliłeś głowę, żeby z bliska zajrzeć jej w oczy i – świat przestał istnieć...

Dokładnie po trzech tygodniach skończył się naprawdę. Siemnastego września, też w niedzielę...

A potem nastał styczeń. Ów najgorszy styczeń w życiu Maniusi. I najokrutniejsze ze słów: „Ostaszków”. Wywieziono tam kilka tysięcy polskich policjantów, w tym Twojego Tatę (którego Maniusia i Jerzyk nazywali ”Wujem Janem”) i – Ciebie. Pani Zofia, Wasza sąsiadka z Boruńskiej, opowiadała, że rzucałeś się na nich, próbując bronić ojca i dlatego Cię zabrali. Długo nikt w miasteczku nic pewnego nie wiedział, dopiero ksiądz Walerian przywiózł trochę informacji. Że trzymają Was tam wszystkich w nieludzkich warunkach, właściwie nie w Ostaszkwie nawet, a dziesięć kilometrów dalej, w monasterze na wyspie Stołobnyj. Tej na jeziorze Seliger, pamiętasz? Ksiądz powiedział Twojej Mamie, że komendantem jest tam znany z okrucieństwa Paweł Borysowiec, a jego prawa ręka to Iwan Jurasow, bodajże jeszcze bardziej zwyrodniały. Maniusia podsłuchiwała tę rozmowę. Podsłuchiwała w tamtych tygodniach wiele rozmów. I za każdym razem serce w niej truchlało. Zwłaszcza, że nie było żadnego sposobu dowiedzieć się, czy żyjecie.

Aż wreszcie, w pierwszy dzień wiosny, przyszedł list. Od Ciebie i Wuja Jana. Ale – Twojej Mamy już w miasteczku nie było. Po tym, jak Was wszystkich aresztowali i ją i Twoich braci wywieziono do Kazachstanu. Razem z innymi rodzinami policjantów. List leżał więc na poczcie prawie dziesięć tygodni; w końcu ktoś wykradł go i podrzucił Jerzykowi. Babcia Maria do dziś pamięta każdą literkę, każdą plamkę i zagniecenie kartki. Nie było tam słowa skargi, tylko ogrom tęsknoty i troski o to,

jak Twoja Mama radzi sobie sama z trójką drobiazgu. Oraz mnóstwo pytań o wszystkich mieszkańców Oszmiany. I na koniec, w ostatnim zdaniu pozdrowienia dla Maniusi. Jakże ją uszczęśliwiły! Zupełnie jakby ktoś przypiął jej skrzydła do ramion!

Nie miała przecież pojęcia, że w chwili, kiedy całowała ukradkiem owo ostatnie zdanie, Ciebie nie było już wśród żywych...

O tym, jak wywieziono Was – sześć tysięcy wyniszczonych ludzi – do Kalinina (teraz nazywa się Twer), dowiedziała się znacznie, ale to znacznie później. Jak skuwano Was kolejno wieczorami, jak zasłaniano oczy i prowadzono za drzwi wygłuszone wojlukiem... Strzał w tył głowy. Mój Boże...! Koniec udręk. Koniec nadziei. Koniec planów. Koniec człowieka. Koniec marzeń o powrocie do dawnego życia dla tych, którym Was odebrano. A potem, o świcie, ciężarówka do Miednoje i wykopane przez koparki doły...

Był maj 1940 roku...

Stasiu najmilszy! Naprawdę byłeś „zatwardziałym wrogiem władzy radzieckiej”? Ty? Siedemnastolatek o szczerym spojrzeniu i jasnej duszy chłopięcej...?

Po latach Babcia Maria – już tutaj, w Białymstoku – spotkała mojego Dziadka (niestety, nie zdążyłam go poznać, umarł zanim zjawiłam się na świecie). Wyszła za męża, urodziła mojego Tatę. I przez trzydzieści lat uczyła języka polskiego w naszym najlepszym, jak twierdzi, liceum. Czyli: w Dwójce. Dzisiaj jest niedużą, energiczną staruszką, sypiącą jak z rękawa anegdotami, wspomnieniami i przypowieściami; i wciąż po oszmiańsku upartą. Jej uczniowie musieli ją lubić: co i rusz dzwonią, wpadają



pogadać, albo przysyłają najrozmaitsze zdjęcia i widokówki. A ja bardzo ją Kocham. I bardzo się o nią boję. Bardzo!

U nas, Stasiu, pandemia. Koronawirus rozpanoszył się po całym świecie i zabija takich jak Babcia Maria. Głównie takich. Młodym krzywdy na ogół nie czyni, tyle że pozamykał nas w domach, nawet do szkoły nie chodzimy. A niedługo przecież maj i matura. Przełożyli. Może będzie w czerwcu, a może jeszcze później. Ten cały Covid-19 (tak paskudztwo nazwali) to jakiś koszmar, Stasiu. Tu u nas, w Polsce, nie jest, póki co, tak najgorszej, ale we Włoszech, na przykład, umarło na to już dwadzieścia trzy tysiące osób (w ciągu dwóch miesięcy!), a na całym świecie choruje dwa i pół miliona. Makabra.

U Babci ostatni raz byłam ósmego marca (co roku setnie się w ów dzień bawimy). W telewizji na okrągło już straszą, że każdy może być nosicielem, że nie trzeba samemu mieć objawów, żeby zarażać, zwłaszcza kiedy jest się bardzo młodym. To i nie wyściubiam nosa z pokoju. Dokuwam, mnóstwo czytam, nurkuję w Internecie. Rozmyślałam. I wymyśliłam ten list do Ciebie. Poproszę Tatę, żeby zaniósł go dzisiaj Babci; tylko on ją teraz odwiedza, wiesz? Dostarcza zakupy, dba o potrzeby, pilnuje, żeby nikt inny do niej nie przychodził. Bardzo się stara, wszyscy bardzo się staramy, żeby to świństwo w koronie jej nie dopadło. Ja też teraz piszę odkażonym długopisem na odkażonym biurku, w maseczce i pielęgniarских rękawiczkach Mamy. Żeby było bezpiecznie, Stasiu, żeby nasza Manusia na pewno nie zachorowała. Mam nadzieję, że to moje do Ciebie pisanie szczerze ją uraduje. To ma być najprawdziwsza niespodzianka, nawet słówka jej nie pisałam na Skypie. Jutro napiszę Ci, co powiedziała, dobrze? Tobie będzie tam u góry trochę różniej,

a i mnie ten zawirusowany lockdown (najmodniejsze ostatnio określenie) szybciej może zleci.

Zatem – do jutra Stasiu, dobrze?

Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej

Marianna, wnuczka Maniusi.

### III miejsce

Beata Kulaga

(Białystok)

Utwór „Kiedy zostaliśmy w domu” to lapidarny zapis czasu niepokoju, w jakim przyszło nam żyć. Szukanie optymizmu w najtrudniejszych momentach i najlepszych dróg, na których nie straci się nadziei. I przypomnienie, że pamiętnik to najwierniejszy przyjaciel, w którym zapisuje się najintymniejsze zapiski z głębi zaniepokojonej duszy.

#### Kiedy zostaliśmy w domu

*Marzec'2020*

Ciepło na policzkach. Promienie słoneczne pokonują zapórę żaluzji, by następnie przebić się przez membranę powiek. Za oknem ptaki zakłète w świergot. Chciałabym, jak one, beztrako witać wiosnę. A właściwie... nie mam na co narzekać. Uśmiecham się przez łzy: „Dobrze, że mogę witać kolejny dzień”.

Kawa w towarzystwie męża smakuje wybornie.

*Kwiecień'2020*

„Zostań w domu, zostań w domu...”. Kto zostaje, ten zostaje. Ja zbroję się w maseczkę, rękawiczki, świętą cierpliwość. Jadę do pracy. W dobie, kiedy wmawiają mi, że każdy następny oddech

może być tym ostatnim, samochód urasta do rangi eliksiru życia – dzięki niemu nie muszę jeździć środkami komunikacji miejskiej – unikam kontaktu z ludźmi.

UNIKAM KONTAKTU Z LUDŹMI – od kiedy to jest powód do radości?

*Maj'2020*

Dziewiąta. Sprawdzam pocztę. Jest wiadomość: „Drogie dzieci, dzisiaj dowiecie się... Otwórzcie podręcznik na stronie... Przeczytajcie... Zapiszcie w zeszytach... W ćwiczeniach strony od... do...”. Dużo tego jak na trzecioklasistę. Nie zrobimy wszystkiego wieczorem, musi zrobić przynajmniej coś, zanim wrócę z pracy. Wysłała mi zdjęcie strony z podręcznika. Tłumaczę mu nowy temat, zasady rozwiązywania zadań. Przesłała mi zdjęcie z odrobionym zadaniem. Sprawdzam, tłumaczę, co powinien poprawić, nad czym popracować. Resztę zrobimy w domu. Teraz muszę skoncentrować się na pracy – pięćdziesiąt procent obsady pracuje zdalnie, drugie pięćdziesiąt – stacjonarnie, by robić to, czego nie da się zrobić w domu.

Po dwóch miesiącach doszłam do wprawy. Świetnie sobie radzę z pracą zdalną i zdalnym nauczaniem.

*Czerwiec'2020*

Strach ma jednak swoje „plusy dodatnie”. Zadaję sobie pytanie, co powinnam jeszcze zrobić, zanim i mnie dopadnie. Dopisuję do listy kolejne zadania. Wykreślam te, z którymi można poczekać, bez których można się obejść. Lista kurczy się, właści-

wie pozostaje niewiele. Realizuję konsekwentnie, dzień po dniu, nim będzie za późno.

Przytulam synów i męża, telefonuję do mamy... Wcześniej wciąż brakowało na to czasu.

### *Sierpień'2020*

Pierwsza Komunia Święta młodszego syna nie odbyła się w terminie. Goście, z ustami pozamykanymi na kłódkę strachu, z megafonu domyślali się najważniejszych chwil w życiu mojego dziecka. To nie była wymarzona uroczystość.

Trzydzieści cztery lata temu zamykał nam usta czerwony wirus. Sukienka komunijna został wniesiona w czarnym worku przez zakrytą. Żadnych zdjęć, pamiątek, dowodów. Moja Pierwsza Komunia Święta za czasów komuny w mieście, które znalazło się przypadkiem poza granicami Polski, była spełnieniem marzenia, bo się odbyła.

### *Październik'2020*

„Drugą falę” zapowiadano jeszcze w marcu. To jedna z wielu spełnionych obietnic wyborczych. Za dwa dni stajemy się „czerwoną strefą”. Stacje radiowe i telewizyjne powtarzają jak mantrę: „Nie wychodź z domu, jeżeli nie musisz”.

Znów każdy marzy tylko o tym, żeby nie stać się kolejną liczbą w smutnych statystykach.



NAGRODA SPECJALNA  
POLSKIEGO RADIA BIAŁYSTOK





Urszula Krajewska-Szeligowska  
(Krajewo Białe)

Poeta przeciw pandemii (sonet – tautogram)

Przeszły przykrótkie przedpołudnia, popołudnia.  
Pierwsze ptaki Podlasie pieśnią przywitały.  
Przebiśnięgów, przylaszczek płatkami polany  
Posypało przedwiośnie przepysznie, przecudnie.

Przebłysk przedwiośnia przygaśł. Pesymizmu pełni  
Patrzymy przerażeni: przybyła pandemia!  
Przytłacza, podłamuje, przygniata, przygnębia.  
Przyszłość przyćmiona piętnem podłej przepowiedni.

Pozamykani przemykamy po pokojach.  
Pospacerować po parku? Próżne pragnienie!  
Pozostaje poczytać, potelefonować...

Poeta postanowił pokonać pandemię!  
Przygnębionych, przybitych pocieszyć próbował:  
Porozjaśniał ponurość poezji promieniem!

Poeta i pandemia (sonet – akrostych)

Poeta, jak dziennikarz, jeden dziś ma temat:  
O pandemii dręczącej ludzkość strofy pisze.

Epidemicznych wieści uszy wciąż niesytc.  
Tonie w nich świat, nadziei na normalność nie ma,  
A za oknem wiosennie zakwita już łąka  
I uśpiona natura do życia się budzi.  
Patrzy, ale nie widzi wokół wcale ludzi,  
Aut warkot nie zakłóca koncertu skowronka.

Nie może wyjść do parku ni do lasu człowiek,  
Do sklepu i do pracy tylko gna w maseczce.  
Emocji negatywnych pełen pyta co dzień:

Może wirus zbyt długo zostać tu nie zechce  
I pójdzie jak niepyszny gdzieś w daleką stronę,  
A poeta napisze o miłości sonet?

NAGRODA SPECJALNA  
KSIĄŻNICY PODLASKIEJ



Irena Słomińska  
(Białystok)

## Mikrokosmos

Haiku. Motyle w powietrzu.  
Nad światem – łąką. Światem jako filozoficznym  
pytaniem.  
Łąką, na której każde źdźbło jest drogą.  
Rozkwitającą dopiero co zrodzonym pąkiem  
słów.  
Miniatura człowieka w miniaturze zieleni.  
Maleńkie życie, nasionko wielkiego.  
Haiku.

Motyle. Skrawki lotnego piękna.  
Rozmigotane barwą, frunące skrzydełka.  
Dotknięcie nieskończoności w skończoności.  
Haiku.

Każdy je tworzy. Składając pocałunek  
na twarzy świata.

Matsuo Basho umoczył swój pędzelek w tuszu.  
Malując siebie i swój mikrokosmos.



UTWORY WYRÓŻNIONE  
PRZEZ PODLASKĄ REDAKCJĘ SENIORA





## Wyróżnienie

Bożena Staszek

(Wizna)

### Brzemię przeszłości

Zgorzkniałą twarz  
przysłania woal rozpaczy  
niespełnione pragnienia  
przyprószył jesienny liść  
z kącików warg wyciska się  
fałszywa radość  
żyły pokrywa rdza  
lwie serce ustaje w biegu  
kiedyś mogło góry przenosić  
miraże wspomnień  
przelatują jak motyle  
wzrok skanuje dawne obrazy  
głuchy wiatr  
strąca perły rosy z mokrych rzęs  
panta rei



## **Wyróżnienie**

Bożena Klimaszewska  
(Obuchowizna)

### Moje miasto

Lubię  
Gdy moje miasto śpi  
Pogrążone  
W ciemności i ciszy  
Ostatni czarny kot  
Zamyka drzwi  
A ulice jeszcze tańczą  
Światłem latarni rozochoczone  
Księżyc gra  
Cichą melodię  
Za jeden grosz  
Ot tak  
Za siebie rzucony  
Spóźniony kochanek  
Przemyka jak cień  
Między blokami  
Właśnie tak –  
Pocałunkiem skończył się  
Jego dzień  
Lubię  
Gdy moje miasto

Już śpi  
Tulone szalem rozkoszy  
W świetle księżyca  
Co po niebie  
Swym srebrem się obnosi  
Samotność puka  
Do czyichś drzwi  
Lubię  
Gdy moje miasto  
Już śpi  
I cicho tak  
Tylko zegar na rynku  
Odmawia pacierz  
Tik-tak  
Tik-tak  
Tik-tak

## Wyróżnienie

Irena Świerżyńska

(Białystok)

### co z Fabianem

poznał swoje – Paweł Jaś i Fabian  
jeden przetrwał  
drugi – nie  
a – o trzecim pytam  
co z Fabianem  
czy pan wie – jakie losy  
gdzie  
biega  
miga głowa pełna lotu  
czy piwnica  
kłębek splotów myśli poszarpanej  
przydeptanej wielką stopą  
w bliskiej  
twardej obudowie  
które oko  
to na dole  
czy tam wysoko  
chce – choć trochę liznąć chmury  
czy przybiły go tortury  
od rówieśniczej braci  
i te – od mocy pomagaczy niby domu

z szyldem Dziecka  
czy ten dom coś znaczy  
czy o radość ciut zahaczył  
ile dobra  
ile nut  
tyle ciepła – co dał but  
spytaj pana  
gdzie jest cud  
jak przeskoczyć tamten próg  
ktoś – pomoże  
przetrwać duszy w ciemnym borze  
jasny promień rzuci  
ogrzeje  
zanuci  
kiedy kiedy kiedy...

## **Wyróżnienie**

Grażyna Cylwik

(Białystok)

### Covid-19

dzisiaj w modzie  
są obrazy D. P Hawkins  
wirus popelnia plagiat  
bawią przerażone oczy  
pełne smutku  
ubiera ludzi w maskę  
mówi że jest Obywatelem świata  
w sekundzie spadnie korona  
świat odzyska  
radość i spokój  
miłość złączy  
drżące ręce





## **Wyróżnienie**

Dionizy Purta

(Białystok)

### Koronawirus atakuje

Człowiek od początku istnienia kształtuje otoczenie, by zachwycało estetyką, co pobudza do działania, sprzyja wyciszeniu emocji, uspokojeniu umysłu, lepszej koncentracji i w tej atmosferze czuje się spełniony i życzliwszy światu. Patrzy w zakamarki duszy, dociera do najbardziej skrytych pokładów, które są tam gdzieś w głębi serca. Widzi jak z bezchmurnego nieba uśmiecha się słońce, a ciepłe promienie przypominają, że idzie wiosna. Piękno przekształca się w dobro, kieruje w stronę życzliwości i myśli do pozytywnych uczynków.

Wraz z upływem życia zastanawia się czy żyje tu i teraz czy pobyt na planecie Ziemia jest jedynym Domem, że też może to tylko dom przejściowy, a my jesteśmy częścią czegoś większego. Zadaje pytania, szuka odpowiedzi, ale czy je znajduje, nie wiem...? Dokąd zmierzamy, musimy więc drążyć i mieć pogląd na sposób myślenia i na miarę możliwości. „Świat wokół nas zmienia się w zawrotnym tempie. Trudno powiedzieć, co przyniesie dzień jutrzejszy. Wczoraj do ciebie nie należy. Jutro niepewne... Tylko dziś jest twoje. Tak więc dziś, nie później, nie kiedyś, tylko właśnie dziś, zadbajmy o siebie” – JPIL.

Zdumiewam i zachwycam się urodą i dziwnościami widzialnego i niewidzialnego świata. To co dotykalne i widzialne pozwala

określić granice niewiadomego i niepoznawalnego. Bez tej miary nie dałoby się pojąć jego nieuchwytnych granic. Nie przefrnujesz, musisz stanąć i patrzeć głębiej i coraz głębiej. Bo dalekie wybrzeża ciszy zaczynają się tuż za progiem. Miejsce, z którego można widzieć bliżej czy dalej to okno domu, pojazdu, telewizora, smartfonu. Ale nie wiadomo na co ktoś patrzy, na to czy tamto, a może patrzy w głąb siebie. Bo w sobie też ma widoki. We wcześniejszej epoce wypatrywał przyjscia drugiego człowieka. Dziś patrzy w okno urzędnika i przy pomocy aplikacji posiada możliwość śledzenia zjawisk dawniej niedostępnych. Na łonie natury widzi przyrodę – rozległe pola, łąki, ptaki w powietrzu, czuje zapach, drogi ciągnące w różnych kierunkach niczym pajęczyna.

Ten piękny i wspaniały świat mijamy nadzieją, że tylko chwilo-wo został nam odebrany. Dawniej myślało się, że dobrze byłoby dla odpoczynku pobyc dłużej w miejscu zamieszkania. Nagle stało się coś niespodziewanego, że zmuszeni zostaliśmy do przebywania w domach a to jest koszmarem, a nie odpoczynkiem. Nie jest to łatwy czas czego doświadcza większość społeczeństwa. Jedni boją się o swoje zdrowie i życie sparaliżowane lękiem, nawet wirtualnie nie ma sił, by kontaktować się z najbliższymi, oraz widzimy coraz mniej ludzi, którzy gdzieś patrzą i wzajemnie unikamy do spotkania się wzrokiem. Inni lekceważą ten stan zagrożenia, posuwając się do absurdalnych teorii spiskowych, czy stwierdzania, że “nie ma żadnego Covida”. Można te stwierdzenia wypływać z niewiedzy lub wyparcia informacji o realnym zagrożeniu. Ujawniają się też podstawy, które można nazwać wprost – podłością.

Ważne by zachować ostrożność i nie popadać w panikę. Cieszy jednak to, że w tym całym chaosie coraz więcej osób stara się wychodzić do innych z życzliwością. Chociaż масечки zakrywają uśmiech, to ten stan widać w oczach. W doświadczeniu wewnętrznego rozbicia, lęku czy cierpienia spowodowanego ludzką niesprawnością, warto powiedzieć, jak ważna jest harmonia z samym sobą z Bogiem i światem przyrody. Każdy z nas posiada godność, która nie jest tylko czymś, ale kimś. Zdolna odkrywać siebie, panować nad sobą, w dobrowolnym sposób tworzyć wspólnoty z innymi ludźmi. Postarajmy się odkrywać piękno w najbliższym otoczeniu na "łonie natury". Każdy powinien być chciany, kochany, bo jest potrzebny. Wspaniała to pewność, że życie nie gubi się w beznadziejnym chaosie. Tak więc każde stworzenie jest przedmiotem czułości, w której posiada swoje miejsce w świecie.

Warto więc odkrywać godność, wartość, piękno Kogoś, dla którego tak bardzo jesteście ważni. Bycie na łonie natury intryguje, uzdrawia, oczyszcza i jesteście bezpieczni jak w domu i tutaj rodzimy się wciąż na nowo.

*Hej, pola, wy pola! Hej, łany. Wy łany!  
Oto stoją przed wami, jak przed arką  
żywego ducha Narodu.  
Zawsze ty jedna. Matko, i zawsze  
miłowana i święta, i zawsze cała  
w duszy twego ludu*

Maria Konopnicka



## Wyróżnienie

Halinka Bohuta-Stapel

(Wilkanowo)

### Niemiecko-podlaski pakt obronny

*Kartka z pamiętnika (Zgorzelec, 1965)*

Minie dobra godzina zanim Anka przywali tornistrem, aczkolwiek niechcący, babce Posyniukowej, pokieroszowanej przez Kociembę w tangu-wygibangu i zanim znów wtargnie do baśniowej krainy ciotki Trudy i dowie się o dziwnym, babskim pakcie obronnym. Póki co sunie rozgrzanym chodnikiem w kierunku centrum miasteczka, a idąc wzdłuż nadrzecznego bulwaru omija stadka ubranych na czarno starych kobiet greckich, rozgdakanych niczym stado wron. Każda z nich wyposażona jest w drewniany zydelek, na którym sadowi swoje beczułkowane ciało, wystawiwszy na żer czerwcowego słońca patyki nóg odzianych w czarne, wełniane pończochy.

– *Orea koricja* – słyszy omijając siedziska kobiet tarasujących wąski chodnik przylegający do ulicy prowadzącej z Ogniska Muzycznego ku granicy. Bywało niekiedy, że Greczynki próbowaly coś tam jeszcze do niej zagadać w swoim języku, ale dziewczynka na ich zaczepki bąka zawsze nieśmiało „przepraszam, ja nie rozumiem...”

Tuż przy granicy połyka ją tłum kobiet powracających z pracy za rzeką; te kobiety to barwne jaskółki nowinek handlowych –

a to drylownica do wiśni, a to młynek do kawy, elastyczne rajstopy bez szwów czy skórzane buty firmy Salamander. A wszystko kupione za wschodnie marki zarobione za rzeką w fabryce kondensatorów, w *enerdówku*. Plecak z nutami ciąży Ance nieznośnie, czerwcowe słońce stoi wysoko, a sandał otarł jej nogę, więc powolutku człapie ze wzrokiem utkwionym w szczeliny szarych płyt chodnika, powtarzając w myślach ostatnie dyktando z solfeża.

Drzwi do klatki schodowej kamienicy Posygniuków są ciężkie, solidne, wyposażone w równie solidną mosiężną klamkę, która jakimś cudem uchowała się przed powojennymi szabrownikami. Ornament zdobiący ją, jak też resztki witrażowych szkieł w oknie bramy świadczą o niegdysiejszej świetności tej kamienicy. Anka popycha z trudem ciężkie skrzydło drzwi, a one odpowiadają jej piskliwą rozdziawą. Chłód klatki schodowej byłby zbawienny, gdyby nie towarzyszył mu szcurzy zapach zmieszany z odorem uryny – wstęp na klatki schodowe mają wszyscy, nie wyłączając balowiczów powracający nad ranem z pobliskiej „Arkadii”. Wyleniały kot miaukliwie ociera się o nogi dziewczynki i czmycha gdzieś rączym susem.

Drewniane stopnie schodów prowadzących na piętro mają mocno sfatygowaną część środkową, a przy każdym ze stopni widnieją po dwa metalowe oczka, służące kiedyś zapewne do zaczepiania prętów przytrzymujących dywan. Po prętach nie został nawet ślad, wszystko, co dało się w miarę łatwo zdemonstrować znalazło swoich amatorów łatwego zysku i wylądowało w punkcie skupu złomu. Kamienica ta może liczyć sobie przynajmniej sześćdziesiątkę, bo na fasadzie budynku zachował się napis – jedynka, dziewiątka, zero i jeszcze jakaś cyfra, którą

odłupano, poprzedzone wielkimi literami AD. A może nie odłupano, bo po co komu kamienna cyfra, której nie przyjmą w żadnym punkcie skupu złomu, może zmiotł ją huk armaty, gdy przez miasto dwadzieścia lat temu przetaczał się front. Kostka brukowa ulic miasteczka połatana jest nieco świeższymi kamieniami, położonymi w miejscu tych, które zniszczono gąsienicami czołgów.

Aby wejść do mieszkania Posyniuków należy pukać trzy razy. Dwa puknięcia wywołują kogoś od Michalaków. Oba mieszkania mają wspólne wejście i graciarnię – pozbawiony okien przedpokój. Anka puka trzy razy, drzwi otwiera jej mała Mańka, która czmycha, niczym spotkany na klatce kot, w jasną czeluść kuchennych drzwi. Potykając się o dziecięcy rowerek i zrolowany wyleniały dywan, stojący na sztorc, niczym strażnik mizernego dobytku zgromadzonego przez obie rodziny w ciągu dwudziestu lat symbiozy, Ania wchodzi do mieszkania Posyniuków.

– *Dzień dobry* – dyga grzecznie w drzwiach.

Nie odpowiadają, są zajęte liczeniem oczek. Gdyby ktoś nie widział, że dziergają ażurowe serwety z perłowego kordonka kupionego za rzeką, to patrząc na ich skupione twarze mógłby przypuszczać, że pracują nad strategicznym planem jakiegoś przedsięwzięcia, bardzo ważnego dla ogółu ludzkości. Całością dyryguje Zofia trzymająca papierosa osadzonego w długiej lufce. Na środku okrągłego stołu leży arkusz papieru kancelaryjnego z hieroglificznym zapisem wzoru serwety, a Helena, Eleni i Truda, zerkając raz po raz w punkt pokazywany im szkarłatnym paznokciem Zofii, przekładają pracowicie oczka zebrane na

okrągłych drutach. Wyposażone w kłębki nici wyglądają jak trzy mityczne, choć jeszcze dość młode Parki.

– *A, kalimera, kalimera* – Eleni ocknęła się jako pierwsza, odpowiadając z uśmiechem na powitanie. Jej oczy, ciemne i ciepłe, przywodzą na myśl dojrzałą czarną oliwkę.

– *No i jak, załapiesz się na te kolonie do „enerdówka”?* – Zofia pyta córkę nie odrywając wzroku od arkusza z zacyfrowanym zapisem wzoru serwety.

– *Pojadę, ale jak mi zaliczą solfeż* – odpowiada Anka, nonszalancko rzucając plecak z nutami na wersalkę.

Nie zauważa, że leży na niej babcia Posyniukowa, po uszy otulona kocem, a ciężki tornister wypakowany nutami trafia ją w zgięte plecy.

– *Ojej, pani babcia chora?* – pyta Anka speszona. – *Przepraszam, ja nie chciałam, ja nie zauważyłam...*

– *Eeeee, niczobo...* – skrzeczy stara, machając ręką, jakby muchę odganiała i uśmiecha się do dziewczynki oczami tak niebieskimi, jak niebieskie potrafią być tylko chabry z podmokłych pod-laskich łąk.

Anka lubi babcię Posyniuczkę. Lubi jej pierogi z jagodami i chabrowy uśmiech spod malutkiego, okrągłego noska.

– *Boli coś?* – pyta.

– *To przez Kociembę, ale nic jej nie będzie* – odpowiada za nią Helena, jej synowa.

– *Kociembę?* – podchwytuje Zofia. – *A co jemu do waszej babki?* – pyta, zaciągając się dymem z „Klubowego”. (Kociemba jest miejscowym głupkiem, nosi przenicowany na lewą stronę wojskowy mundur bez dystynkcji, buty oficerki, spodnie bryczesy



z granatowym lampasem, a pod nosem, przy pomocy zwykłej kredki do brwi, domalowuje sobie zakręcone wąsy.)

– *A ot tak, przylazł, to puścili my „Małego Władzia”, a jak puścili, to i potańczyli* – Helena przesuwając kolejne oczko na drucie.

– *Co?!* – w kąciku ust Zofii drga ironiczny uśmiezek.

– *Tango* – rzeczowo odpowiada Helena.

– *„Mały Władzio”? Tango?! Z waszą babką?* – w oczach Zofii zaśmiały się ogniki. Spogląda pytająco na starszkę, a ta kiwa głową, krzywiąc usta cierpkim uśmiechem.

– *Oj, Sońka, my interes do niego mieli, to po obiedzie po kieliszku z nim wypili, no a jak wypili, to jak nie potańczyć?*

– *A jakież to interes możecie mieć właśnie wy do tego Kociemby?*

– *Ano, większe mieszkanie obiecał nam załatwić, to trzeba było coś na stół postawić...*

I tu Helena ugryzła się w język. Za późno.

– *Wększe mieszkanie?...* – jak echo powtarza Truda. – *Helena, a czo z nami?*

Truda, po mężu Michalak, mieszka w tej części mieszkania, do której puka się dwa razy. Jest rodowitą Niemką, nie wymawia głoski „r”, ale córce dała imię Urszula. Ulka cała jest po Michalaku – czarnooka, sprytna, gibka i jak wszystko jest w porządku, to dzieciaki wołają na nią tak zwyczajnie, czyli Ulka, ale w złości, to czasami *niemra*. Ludzie mówią, że Truda mieszkała w tym domu przed wojną ze swoimi rodzicami, ale w czterdziestym piątym wszyscy dali dyla za Nysę i tylko dwudziestoletnia Truda postanowiła zostać na swoim. Niektórzy twierdzili, że nie tyle z powodu przywiązania do rodzinnego domu, co z powodu pol-

skiego dowódcy miasta, przystojnego kapitana Michalaka, mianowanego na to stanowisko przez Rosjan.

– *Helka, to co z nami bendże?* – powtarza Truda wlepiając w Helenę jasne, rybie oczy okolone gęstymi rzęsami koloru starego złota, piegi na jej wąskim nosku rudzieją wyraziście, a trwała undulacja barwy średni szczur wieńczy jej okrągłą twarz niczym aureola bolejącej madonny.

Helena siąka nosem.

– *Ciasno nam tu....* – usprawiedliwia się, drapiąc spracowaną ręką rumiany policzek.

– *Ej, Helka, ale my sze umówili...* – szwargocze Truda. To jej „sze” jest efektem bezowocnej walki z miękkością polskiego języka.

Zofia pytająco spogląda na Eleni, ale Greczynka jest zajęta robótką.

– *„Ene, dijo, trijo...* – liczy cicho, próbując zrozumieć zawily zapis wzoru, lecz bez pomocy Zofii gubi się i unosi bezradny wzrok znad serwety.

– *Eleni, słyszysz, Posyniuki będą się wyprowadzać!* – Zofia rzuca w jej stronę zaczepnie, łypiąc kątem oka w stronę Heleny.

– *Co? Jak? Poczemu?* – Greczynka przenosi wzrok na Helkę. – *A co, tu wam źle?*

Truda ma łzy w oczach, ale powstrzymując się od płaczu pospiesznie wybiega do siebie.

Zofia czuje, że coś tu jest nie halo, więc wyskakuje za nią. No, Ance tylko tego trzeba. Wybiega za matką, bo wie, że znów nadarza się nie lada gratka wtargnięcia w bajkową kuchnię ciotki Trudy – serweteczki, kwiatuszki, sarenka, baranek, makatka, no i ta sterylna czystość, jakże inna niż swojskie klimaty Posyniuków.

– *Truda, ślub braliście z Posyniukami, czy co?* – Zofia bezceremonialnie wciąga Niemkę do kuchni i sadza na taborecie. – *Mów, co jest?*

No i wtedy Truda, szlochając, opowiada Zofii o swoistym pakcie obronnym, niemiecko-ruskim czy może niemiecko-podlaskim – jak zwał tak zwał, ale babskim pakcie obronnym zawartym onegdaj z Helką, który wskutek wyprowadzki Posyniuków po prostu bierze w łeb.

Zofia tylko oczy przeciera i nie wie, czy parsknąć śmiechem, czy lecieć do administracji z informacją o samowolce budowlanej, kiedy Truda pokazuje jej ukryte za szafą świeżo wybite drzwi. Takie zwyczajne, solidne, osadzone w futrynie, przez które można swobodnie przedostać się z... szafy Michalaków wprost do mieszkania Posyniuków. Zofia opukuje ściankę, w której je osadzono – no, na szczęście to zwykła, lekka ścianka działowa, a nie nośna.

– *Truda, no dobra, chałupa od tego się nie rozwali, ale po cholereż wam te drzwi?*

Odpowiedź Niemki rozbraja ją.

– *My sze lubimy z Helka, a Helka jest białoruska, taka troche ruska, a ja mam Ulke, a ona ma Mańke, ja?*

Zofia nic z tego nie pojmuje, ale kiwa głową, a Truda ciągnie dalej:

– *No to my sze umówili, że jak znowu bendże Krieg, no, wojna, i jak jakysz Niemiec bendże chciał gwałcić jej Mańke, to ona uczeknie do mnie, a jak przydzie Rusek i bendże chciał gwałcić moja Ula, to pomoże Helka... Versteht du?*

Zofia oddycha z ulgą.

*– Truda, daj spokój, toż już jest dwadzieścia lat po wojnie, na żadną nową na szczęście się nie zanoszą, a ten Kociemba to zwykły czubek, żadnego większego mieszkania im nie załatwi. Ot, chciał sobie podjeść, popić – i tyle jego. Wracajmy do Posyniuków jakby nigdy nic. No co, versteheben? No, nie rycz...*

Po chwili wszystko wraca do normy. Za okrągłym stołem w „dużym” pokoju Posyniuków trzy kobiety zasiadają do przerwanej robótki. Zofia dyryguje nimi, a one mamrocą z cicha: *adin, dwa, tri, ene, dijo, trijo, eins, zwei, drei...*

## Wyróżnienie

Jadwiga Zgliszewska  
(Białystok)

### Pandemia story

To nie stało się nagle. Z właściwym sobie wyczuleniem zmysłów odczytywałam jakąś nadciągającą grozę. Zewsząd docierały niepokojące wieści i obrazy, złowieszczo straszyły kolorowe liczby pokazywane w telewizji, z dnia na dzień coraz bardziej rosnące. W głosie ludzi słyszało się wyczuwalną trwożę. Ten sam lęk dostrzegałam w zachowaniu bliskich mi osób – ich zaniepokojonym wyrazie twarzy, gestach i spojrzeniu. Domyślałam się, że jakieś niebezpieczeństwo czai się za progiem, ale nie mogłam pojąć, co to może być. A już szczególnie Ona była jakaś inna...

Pewnego ranka wpadł do nas Hubert, syn ciotki Beli. Chłopak już od progu zakrzyknął, że odtąd będzie nam robił zakupy, wynosił śmieci i zabierał mnie na spacer. O, to mi dopiero nowina! Ale dlaczego? Otóż podobno starzy ludzie nie powinni wychodzić z domów, bo są „najbardziej narażeni”. Narażeni? Na co? Pewnie to coś poważnego! Przypomniały mi się te epatujące grozą z ekranów liczby i powtarzane często słowa: chorych, zakażonych, śmiertelnych...

Jednak moją uwagę skupiła inna część tyrady Huberta. Czyżby Jej też miało to dotyczyć? I jaka stara, do licha? – nigdy nie uważałam Jej za starą! Wiecie, jak się kogoś bardzo kocha, to nic, poza tym się nie liczy. Ani wiek, ani wygląd, ani cokolwiek inne-

go – tylko miłość. A moja przyjaciółka nie mogła być przecież jakaś-tam! Zawsze była najpiękniejsza, najlepsza, najmądrzejsza i najukochańsza na świecie! Jednak wcześniej sama zauważyłam, że i Ona od jakiegoś czasu zaczęła wyraźnie niedomagać i z trudem wykonywała prawie każdą czynność. Ucieszyła mnie więc propozycja Huberta. Lubię z nim wychodzić, bo z chłopcem zapuszczamy się dalej po osiedlowych zakątkach. Ten porusza się szybciej, więc pewnie spotkamy więcej ludzi i będzie ciekawiej podczas spacerów. Ale nagle... ludzi na mieście zabrakło! To niepojęte, że do niedawna rojne ulice raptem stały się zupełnie puste. Ani przechodniów, ani pojazdów. Wyludniony, smutny krajobraz przypominał mi filmy katastroficzne lub wojenne – widok niczym po wybuchu jądrowym. A kysz! Już na samo wspomnienie robi mi się nieswojo.

Skoro już o filmach mowa, to teraz naszym głównym wspólnym zajęciem stało się oglądanie telewizji. Wiedziałam, że Ona lubi publicystykę, ja zaś uwielbiam wszystkie obrazy o zwierzętach. Czasem sprawiała mi przyjemność i razem oglądałyśmy właśnie takie. Ot, choćby niedzielne seanse kina rodzinnego i kolejne części ulubionego filmu „Beethoven” o uroczym psie bernardynie i jego szalonej rodzinie. Byłam szczęśliwa, ale też i nazbyt pobudzona. Jednak Ona nie odmawiała mi tej radości, nawet gdy wszczyślałam wielki raban, podbiegając do ekranu z błędnym przekonaniem, że... uda mi się włączyć w filmową akcję. Niestety, częściej byłam skazana na patrzenie w ekran z „gadającymi głowami” w dziwnych okienkach. Zupełnie jakby ktoś podzielił cały widok na nierówne kratki, bo każdy prostokąt był inny, bez żadnego ładu i składu.

Kratki! Nie było to jednak więzienie, bo w okienkach pojawia-  
li się rozmówcy, którzy siebie może nawet nie widzieli. Słyszeli  
się też chyba słabo, bo coraz to zrywała się łączność, zanikał głos  
i trudno było cokolwiek zrozumieć. Może dlatego kłócili się  
bez przerwy? Wnosiłam to z podniesionych głosów i nerwowej  
gestykulacji. Bywało, że ich oczy ciskały gromy. Dla Niej zaś  
było to mało istotne, wciąż gapiała się i słuchała. Nie potrafi-  
ła oderwać się od mediów, które na ten czas stały się całym  
światem. Czułam też Jej emocje, z których wyzierały: wyraźne  
poruszenie, zdenerwowanie, a czasem wręcz wściekłość. Zda-  
rzało się, że wykrzykiwała coś do telewizyjnych postaci. Nie  
mogłam pojąć nieustającego zainteresowania czymkolwiek, gdy  
słyszysz się wciąż te same słowa: stan epidemiczny, koronawirus,  
pandemia...

Jeszcze gorzej, gdy na długie godziny zatapiała wzrok w lapto-  
pie. Pisała albo czytała, a wokół zalegała markotna cisza. Wtedy  
mnie nie zauważała, co było najsmutniejsze. I jeszcze ten bez-  
ruch... Całe dni spędzałyśmy w fotelach. Fotele dzielił stolik,  
trudno więc mi było nawet na Nią patrzeć. Przeważnie wtedy  
drzemałam, ale wołałam, kiedy i Ją owładnęła senna. Wówczas  
zawijałyśmy się obie w mięciutki koc i mogłyśmy się do siebie  
przytulić. Dla odmiany zasypiała ona, a ja czuwałam.

Inną Jej aktywnością było przygotowywanie prostych posił-  
ków. Prostych, bo nie chciała obciążać Huberta długimi listami  
zakupów. Potem zaczęła zamawiać żywność w sklepach inter-  
netowych. Cieszyłam się nie tylko dlatego, że urozmaiciła sobie  
dieta czy więcej czasu spędzała poza salonem. Co to, to nie! Nie  
lubię, kiedy przebywa w kuchni, bo tam jest zimna podłoga,  
a wolę dywan, fotel czy kanapę. Musiałam więc nasłuchiwać

z oddalenia, czy na pewno się krząta. Ale zakupy online miały tę zaletę, że zaczęli dzwonić do naszych drzwi kolejni kurierzy.

A ja tak uwielbiam, kiedy ktoś nas odwiedza! Wizyty były wprawdzie krótkie, ale ci panowie byli dla mnie bardzo mili. Wnosili duże pudła i torby, ustawiając je rzędem w korytarzu. Cieszyłam się, że mogę zobaczyć i poznać kogoś nowego. Tylko że ich twarze były jakby... w kagańcach? Co się stało? Po co zasłaniali oblicza? Nigdy się nie dowiedziałam, chociaż Ona też zakupiła sobie kilka takich. Niebawem miałam możliwość zobaczyć, jak tę maseczkę sobie zakłada. Nawet było Jej do twarzy. Ale to już oznaczało dla nas dużo gorszy czas...

Tymczasem na dworze pocieplało, przyszła wiosna. Ludziom było chyba za gorąco w tych osłonkach, bo zaczęli rezygnować z masek. Kiedy poluzowano w kwestii zabezpieczeń, Hubert uznał, że stopniowo będzie się wycofywał ze swojej wielkodusznej pomocy. Zaczęła więc i Ona wychodzić ze mną na podwórko. Było fajnie, bo od dawna nie towarzyszyła mi dworze. Ale co się okazało? Już po kilku krokach siadała, ciężko i głośno dysząc. Początkowo ignorowałam tę Jej słabość. To minie – myślałam.

Ale nie mijało, a przeciwnie – nasilało się. Na dworze już nawet nie szukała ławeczki, ale siadała gdziekolwiek, na przykład na najbliższym murku. Zatrzymywała się i odpoczywała na każdym schodku, jęczała w windzie. Wznosząc ku Niej oczy pytałam błagalnie, czy mogę jakoś pomóc. Wyprzedzając pytanie uspokajała, że to nic takiego. Kiedy wchodziłyśmy do mieszkania, osuwała się na fotel, nawet nie zdejmując płaszcza. I nic tylko głośno dyszała, aż świstało wokół...

To nie mogło trwać wiecznie. Ciocia Bela nie dopuszczając sprzeciwu zawyrokowała, że Ona musi udać się do lekarza. Ale



to proste nie było, oj nie! Kiedy zadzwoniła, lekarka nie chciała się zgodzić na wizytę w gabinecie. Bo w trakcie epidemii doktorzy udzielają porad tylko telefonicznie. Jednak Ona uparła się jak rzadko: tym razem lekarz musi ją zbadać! Doktorka odpuszczyła. Pojechała więc do przychodni taksówką, ja zostałam sama. Nawet nie protestowałam, tylko skuliłam się w niemym bólu, jakbym to sama była chora. Bardzo trapił mnie niepokój o Jej zdrowie.

Czekałam w trwodze, ale Ona wróciła niebawem. Na szczęście zadzwoniła zaraz do swojej siostry, więc słyszałam całą ich rozmowę. Oto lekarka, zabezpieczona w kombinezon, przyłbicę, maskę, rękawice i Bóg wie co jeszcze, przyjęła Ją nie kryjąc swego strachu. Choć wyglądała jak kosmitka, to jednak zbadała dokładnie. Bardzo wysokie ciśnienie krwi oraz ten ciężki i głośny oddech dopiero otrzeźwiły lekarkę. Usiłowała wezwać pogotowie ratunkowe, ale w czasie pandemii było to zadanie graniczące z cudem. Ustaliły więc, że Ona sama zgłosi się na SOR. Sama? Ależ za nic w świecie nie da rady! Zadzwoniła więc do wujka Jurka, który nas wszędzie dowozi.

A ja? Co będzie ze mną? Teraz martwiłam się już chyba bardziej o siebie. Nagle Ona wzięła mnie na kolana, przytuliła i ciepłym głosem zaczęła pocieszać. Domyślałam się mgliście, o co tu chodzi. Oto zaczęła mi łagodnie objaśniać, że jest bardzo chora i musi jechać do szpitala. Nie bardzo orientowałam się w czym rzecz, bo dotąd zawsze z wyprzedzeniem zapowiadała mi swoje wyjścia. Nigdy nie postawiła przed faktem dokonanym i nie opuściła mieszkania bez zapewniania, że szybko wróci. Wybywała czasem do lekarza, do kościoła albo na jakieś zebranie. Tyle rozumiałam. Ale to obecne musiało być czymś jeszcze niezna-

nym. Tuliła mnie i tłumaczyła, że teraz nie będzie Jej... długo! I że pojadę na wieś, gdzie od niedawna mieszka córka cioci Beli z rodziną.

Wiem, że Dagmara nie lubi psów, które ja akurat uwielbiam, ale przecież nie to było teraz najważniejsze. Zresztą i tak ją lubiłam, tak samo jak i jej męża Alberta. Od zawsze przyjaźniłam się też z ich synem Oskarem. Niebawem całą rodziną zjawili się u nas w Białymstoku. Ucieszyłam się bardzo. Prawie nie pamiętałam co mnie czeka, gdy zabierali na podwórko, gdzie już wcześniej dość często wychodziłam z chłopakiem. Nie zdziwiło nawet, kiedy usadowiliśmy się w samochodzie. Jazdę autem uwielbiam, a poza miastem w końcówce maja było tak uroczo, że zapominałam o całym świecie, gapiąc się przez szybę. Dość długo jeszcze nie pamiętałam o przykrych realiach, bo na wiejskim podwórku działo się tyle ciekawych rzeczy.

Wujek Albert podlewał ogródek, koty ganiały sąsiedzkie kury, a ja... ganiałam za wszystkimi. Radosna i niepomna swego położenia. Kiedy się ściemniło i weszliśmy do domu, wszystko stało się jasne: Jej tu nie było! Dobrze, że wcześniej dostałam do zjedzenia ulubionego kurczaka, bo teraz nic bym nie przelknęła. Wszyscy starali się być dla mnie mili. Bawiłam się z Oskarem w jego pokoju.

Szok nastąpił wtedy, gdy nadeszła pora snu. Co teraz będzie ze mną? – myślałam w panice. Ale za chwilę rodzice Oskara pozwolili mi wejść do jego łóżka. Już wiedziałam, że nie będę spała sama. Następnego dnia Dagusia zaaplikowała mi preparaty przeciwko kleszczom i innym owadom, których pełno na wsi. Dbali o mnie, podsuwali smakołyki i zabawki. Bawiłam się całe dnie z chłopcem, bo ze względu na epidemię nie chodził do szkoły.

Na długie chwile udawało się nawet o Niej zapominać. Wtedy Daga robiła mi wesołe zdjęcia, aby wysłać Jej do szpitala i trochę uspokoić. Dopiero po wszystkim miała się dowiedzieć, że nie zawsze było tak słodko. Bo miałam przecież swoje chwile ponurego smutku i tęsknoty. No i obaw o Nią.

Po tygodniu pojechaliśmy do miasta. Dopiero na podwórku przy naszym bloku zorientowałam się, dokąd przybyliśmy. Serce waliło mi mocno. Niebawem cała nasza czwórka już witała się z Nią. Wróciła! Chorobę zdiagnozowano i pomyślnie wdrożono leczenie. A jak się witałyśmy się po tej rozłące, pozostawiam już tylko waszej wyobraźni...

Wkrótce znów udałyśmy się na wieś. Ale już gdzie indziej – do Jej rodzinnej, z której pochodzi. Znam dobrze i kocham to miejsce. Tutaj nie czuło się żadnej pandemii, jakby tej nigdy nie było. Nie widziałam żadnej osoby w maseczce, nikt nie mówił o wirusie, ludzie normalnie się spotykali. Było nam jak w raju i tam spędziłyśmy całe lato. Ja – oddana Jej suczka Messy. I moja ukochana Pani. Bo to o nas opowiada ta historia.



## **Wyróżnienie**

Irena Czerwionka

(Rajgród)

### Moje rozmowy z Covidem-19

*8 kwietnia, środa*

Obudziłam się – jak zawsze – o piątej rano. Białe światło budzącego się poranka próbowało wedrzeć się do mojej sypialni, ale zaciągnięte żaluzje skutecznie je powstrzymywały. W sypialni panował półmrok, lecz bez trudu dostrzegłam, że wskazówki na zegarowym cyferblacie pokazują godzinę piątą. Codziennie budzę się o tej porze – nie wiem dlaczego i – jak codziennie – uświadamiając sobie, że nie muszę wstawać, bo po co, przewróciłam się na drugi bok i próbowałam jeszcze sobie pospać. Nagle serce we mnie zamarło, z przerażenia nie mogłam ruszyć ani ręką, ani nogą. Po prostu zeszywniałam.

Obok, na moim łóżku, tak gdzieś na wysokości nóg siedział jakiś człowiek. To znaczy – myślałam, że to człowiek, bo miał ręce, nogi, tułów, ubrany był jakoś na biało... Ale tam, tam, gdzie każdy człowiek ma głowę, była ogromna, świecąca kula z mnóstwem wyrostków dwu, trzy centymetrowych. I nagle dotarło do mnie, że ja tę kulę skądś znam.... Ale skąd? Na dodatek – między tymi świecącymi wyrostkami błyszcząły czyjeś oczy, niżej zaś jakieś usta otwierały się wymawiając słowa, od których skóra cierpła na człowieku. I w pewnym momencie przypomniałam

sobie, skąd znam tę świecąca kulę. Z ust ukrytych między tymi wyrostkami wydobyl się głos:

– *Witam, jestem COVID – 19.*

– *Właśnie widzę, ale – jak to, już po mnie przyszedłeś? Prawdę mówiąc, nie jestem jeszcze gotowa....*

– *Nie bój się, nie przyszedłem, żeby cię zabrać z tego świata. Nie bój się.*

– *To po co przyszedłeś?* – zapytałam spokojnie i sama sobie się dziwiłam, że ja tak z nim rozmawiam, że nie krzyczę z przerażenia...

– *Przyszedłem cię przekonać, że ewentualne odejście ze mną wcale by nie było takim złym wyjściem* – głos jego brzmiał spokojnie.

– *Tobie chyba w tym kolczastym łbie na dobre się poprzewracało. Niby dlaczego byłoby mi lepiej odejść z tobą? Czuję się całkiem dobrze, nie mam tak zwanych chorób współistniejących, mam zamiar jeszcze długo cieszyć się pobytam na tym świecie.*

– *Powiedziałaś, że masz zamiar długo cieszyć się życiem... Prawda jest taka, że żyć możesz rzeczywiście jeszcze bardzo długo, ale czy będzie to powód do radości? Z czego masz zamiar tak się cieszyć?*

– *Jak to, z czego?* – zapytałam oburzona – *Każdy się cieszy, że nie choruje na przykład na raka, że nie ma udaru czy zawału, że po prostu dane mu jest jeszcze pożyć. To raczej normalne, nieprawdaż? Skąd wiesz, czy za miesiąc lub dwa nie dopadnie cię jakieś straszne chorobsko. Jesteś taka pewna, że lata, które ci zostały do przeżycia to będzie taka sielanka pozbawiona kłopotów, chorób i cierpień? Cofnij się w swojej pamięci o dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat... Co widzisz?*

Zamknęłam oczy i zaczęłam grzebać w mej pamięci. W momencie, kiedy coś mi zaczęło w głowie świtać, otworzyłam oczy, a... Jego już nie było. To znaczy tego niby Covida. Spojrzałam na zegar. Dochodziła siódma. Rozmawiałam więc aż dwie godziny z tą istotą? Nie, ja po prostu spałam, a to wszystko mi się przyśniło. Nie byłam zbyt zdziwiona, bo często miewam straszne, niesamowite sny. Ale tym razem wcale nie byłam taka pewna, czy to był sen. A co, jak to naprawdę był ON?

Przy śniadaniu opowiedziałam o wszystkim mężowi, zaznaczając, że wcale nie jestem pewna, czy to był sen.

– *Nie, nie* – odparł mąż – *To musiał być sen, bo gdyby on naprawdę siedział na twoim łóżku, to, jak cię znam, zaczęłabyś tak wrzeszczeć, że wyskoczyłbym przerażony ze swego. A ja spokojnie sobie spałem, nic nie słyszałem, więc na pewno to był sen. Ale ci nie zazdroszczę.*

*7 maja, czwartek*

Jak zwykle, obudziłam się o piątej. Poranek stawał się coraz jaśniejszy, bo słońce przecież wstawało też z każdym dniem wcześniej. Od ostatniego spotkania z Covidem codziennie bałam się otworzyć oczy. Bałam się, że znów go zobaczę. W końcu je otworzyłam, żeby się przekonać, czy jest na pewno piąta, a może siódma, bo o siódmej zawsze wstaję. No nie! Siedział ów Covid 19 na moim łóżku. A ja się wcale – o dziwo – nie przestraszyłam. Już ja z tobą porozmawiam, pomyślałam w duchu, a pomiędzy świecących wyrostków wydobył się głos – taki normalny, ludzki:

– Witam ponownie. I co? Sięgnęłaś pamięcią ćwierć wieku wstecz?

– Ćwierć wieku wstecz – odpowiedziałam – *zbliżałam się do pięćdziesiątki, byłam aktywna zawodowo, pełna energii i optymizmu. Ze zdrowiem też kłopotów nie miałam.*

– *Ty tak. A twoi rodzice? Mieszkaliście przecież razem.*

*Skąd on ma takie informacje?* – pomyślałam, a głośno odpowiedziałam:

– *Rzeczywiście, mieszkaliśmy razem z rodzicami. Ojciec przekroczył osiemdziesiątkę, miał straszliwą demencję, a może Alzheimera. Całe dnie leżał, trzeba było mu zmieniać pampersy, myć, ubierać i karmić jak dziecko. Całe noce czegoś ode mnie żądał, a ja potem przysypiałam w pracy. Z matką nie było lepiej, miała Parkinsona, halucynacje... To były straszne czasy. Byłam wiecznie zmęczona, często niesamowicie wykończona. Ale to już przeszłość przecież...*

– Ty – powiedział Covid – *ty też możesz taka być. W końcu co po nich odziedziczyłaś i nie mam na myśli domu.*

– *Ale o co ci chodzi? Że niby ja mam się zgodzić na odejście z tobą, żeby nie przeżywać tego, co moi rodzice kiedyś przeżywali? Przecież ja się nimi opiekowałam, moje dzieci na to patrzyły. Dałam im dobry przykład.*

– *Sama powiedziałaś, że były to straszne czasy, że przysypiałaś w pracy, że bywałaś wykończona. Chcesz tego dla swoich dzieci? W dodatku nie masz córki, a synowe na pewno nie będą ci tyłka podcierać. Pomyśl o tym...*

Zniknął. A ja znowu nie wiedziałam, czy to był sen czy jawa. Raczej był to sen, bo mąż spokojnie sobie spał, lekko pochrapując i nie obudziła go moja rozmowa z Covidem. Z drugiej



zaś strony we śnie przebywamy zawsze w jakimś nierealnym świecie, a tutaj wszystko było takie, jak b w realu – to znaczy te moje wspomnienia – takie prawdziwe. Takie prawdziwe... I dlaczego Covid skłonił mnie do tych wspomnień? No cóż – jak mawiała moja mama – sen mara, Bóg wiara.

*5 czerwca, piątek*

Ostatnio budzą mnie o piątej śpiewy ptaków, bo śpię już przy uchylonym oknie. Wokół mego domu i domów sąsiadów jest mnóstwo drzew, więc ptaki – ich mieszkańcy urządzają nam wspaniałe koncerty. Dzisiaj, zanim otworzyłam oczy, wsłuchiwałam się w owe cudowne trele, ale oczywiście pan Covid nie dał mi tego wysłuchać do końca. No cóż – pomyślałam – istota zwiastująca śmierć nie ma przecież naszej ludzkiej wrażliwości i nie potrafi odbierać piękna tak jak my – ludzie. Tym razem też się nie przestraszyłam i chciałam mu trochę nagadać. Niech nie myśli, że mnie przekona, że on – Covid może być dla mnie alternatywą na wszystko zło, co może mi przynieść późna starość. Na razie bowiem jestem na etapie wczesnej starości... Ale czy przekroczone – niedawno wprawdzie – siedemdziesiątka zalicza mnie do wczesnej starości? Tym razem zaczęłam ja:

*– Wracając do naszej ostatniej rozmowy, panie Covidzie, to muszę ci przyznać, że, rzeczywiście nie chcę, żeby moje dzieci miały ze mną tyle kłopotu, co ja z moimi rodzicami.*

Jak każda matka pragnę dla moich dzieci wszystkiego co najlepsze, a nie obowiązku pielęgnowania mnie, kiedy będę niedołączna, który to obowiązek bywa czasami horrorem. Poza tym, oni teraz inaczej pracują – osiem godzin to raczej fikcja. Często

to im jest potrzebna pomoc: a to przy dzieciach, a to przy prowadzeniu domu. Ja już dawno im mówię, że chce tę późną starość spędzić w jakimś przyzwoitym Domu Starości. Ja naprawdę nie oczekuję od moich dzieci, żeby mnie niańczyły, kiedy będę gorsza niż niemowlę. Niemowlę jest przynajmniej lekkie, co ma ogromne znaczenia na wypadek podnoszenia go.

– *A widzisz, widzisz* – memu rozmówcy aż zaświeciły ślepia między wyrostkami – *sama widzisz, że może być tak, że staniesz się niewyobrażalnym ciężarem dla dzieci. A co do tego przyzwoitego Domu Starości to zapomnij...*

– Jak to – zapomnij – zapytałam oburzona – *dlaczego mam niby zapomnieć?*

– *Wiesz, ile kosztuje pobyt w takim domu? Ja wiem. Ja wiem, jaką masz emeryturę i – uwierz mi – jej wysokość starczy na połowę opłaty za taki dom. No i takiej pomocy będę potrzebowała od moich dzieci – żeby dopłacały do mego pobytu w Domu Starości...*

– *Zadziwia mnie twoja naiwność. Niby tak mądra, wykształcona, a taka naiwna w życiowych sprawach. Ty popatrz, jak to młodsze pokolenie dzisiaj żyje. I nie mam tu na myśli tylko twoich dzieci. Biorą kredyty na coraz lepsze samochody, na domy, bo mieszkanie w bloku to obciach, na działki, żeby wybudować letni domek. Nie mówiąc już o wczasach zagranicznych, które w tym roku im znacznie ograniczyłem, ale nie na długo przecież. Gdzie im tam w głowie będzie finansowanie twego pobytu w Domu Starości. Tym bardziej nie będą mogły się doczekać twego odejścia na drugą stronę. Nie zapomnij też wykupić sobie miejsce na cmentarzu i zakupić nagrobek, żeby nie robić dzieciom kłopotów...*

Po tych słowach zniknął, a ja nie mogłam już nic na ten temat powiedzieć. I to nie tylko dlatego, że zniknął, ale dlatego, że miał

dużo racji. Tak naprawdę miał samą rację, taką okrutnie prawdziwą...

Zaczęła we mnie dojrzewać pewna myśl...

*6 lipca, poniedziałek*

O piątej rano uchyliłam trochę żaluzje i, stwierdziwszy, że znów zapowiada się słoneczny, upalny dzień, położyłam się z powrotem do łóżka. O Covidzie już nie pamiętałam, bo dawno go u mnie nie było, tzn. dawno mi się nie śnił. Ledwo jednak przyłożyłam głowę do poduszki, zauważyłam, że jednak siedzi na brzegu łóżka, ślepią mu błyszczą między wyrostkami... Zaczął się śmiać tak nieprzyjemnie, tak drwiąco, od razu zrozumiałam, że ma zamiar nade mną się wytrząsać.

*– Widziałem, jak wczoraj rozmawiałaś ze swoją znajomą – twoją rówieśniczką. Słyszałem nawet, o czym rozmawiałyście...*

Ale wredne stworzenie – pomyślałam – nie dość, że uśmierca ludzi to jeszcze zakłada jakieś podglądy, podsłuchy. Widocznie potrzebne mu jest rozeznanie: co się z ludźmi dzieje, w jakim są stanie. On naprawdę wszystko wie! I to jest przerażające!

*– Przecież ta twoja znajoma cierpi na kilka przewlekłych chorób. Jeździ od lekarza do lekarza, z nadzieją, że jej pomogą, bo ona dochowuje przecież rodziców – oboje grubo po czterdzięciu. A ona często pada z choroby albo zwyczajnie – ze zmęczenia. I co? Myślisz, że nie przyjąłaby z ulgą mojej pomocy albo dla rodziców, albo dla siebie.*

*– To dlaczego jej nie pomożesz?* – zapytałam i zrobiło mi się strasznie głupio.

*– To nie ja decyduję o tym, kogo mam zabrać. Nie ja...*

I poszedł, jak zawsze, a ja znowu opowiedziałam o wszystkim mężowi.

*Wiesz – odpowiedział – ja myślę, że ten Covid -19 to wyraz twego lęku przed tym, co cię czeka. Ty tak naprawdę boisz się – jak wszyscy dzisiaj – że ten wirus może cię w każdej chwili dopaść i starasz się sama siebie przekonać, że to nic strasznego, bo może przed tobą lata cierpień, przed którymi ten właśnie wirus cię uchroni, zabierając cię z tego świata. Obawiasz się takiej starości, jaką mieli twoi rodzice.*

*– Masz rację – odpowiedziałam – może rzeczywiście przyjdzie taki czas, że będę żałować, że ten okropny wirus nie zabrał mnie z tego świata. Może.... Ale to nie ja zadecyduję, kiedy mam odejść. Nie ja!*

# WYRÓŻNIENE GRUPOWE

Wyróżnienie grupowe otrzymała grupa autorów ze Stowarzyszenia My Dla Innych za tekst piosenki „Czas pandemii – czas nadziei” i słuchowisko „Na terapii zajęciowej”: Paweł Kąkol, Igor Androsiuk, Mariusz Zawadzki, Rafał Wyszyński, Dariusz Kosmacki, Jacek Prokorym i Kamil Wnorowski oraz instruktor terapii Jacek Dąbrowski.

## Czas pandemii – czas nadziei

Każą nam siedzieć w domu – mamy tego dość!  
Każą zakładać maski – już nas bierze złość!  
Każą umywać ręce – toż naturalna rzecz.  
Każą, każą coś jeszcze...  
My to robimy lecz...

Ref.

Wierzimy, że już niedługo  
przed nadejściem lata.  
Spotkamy się wszyscy razem,  
na warsztatach. Wierzimy, że już niedługo  
zniknie z tego świata  
ZŁO, które w powietrzu ciągle lata

Widzimy się przez kamerkę,  
fajnie, że chociaż to jest.  
Wyślemy sobie po zdjęciu,  
by nie zapomnieć się.  
Na fejsie klikniemy lajka,  
nad ranem SMS.  
Dzień dobry, miła emotka,  
to wszystko fajne, lecz...

Wierzimy, że już niedługo  
przed nadejściem lata.  
Spotkamy się wszyscy razem  
Na warsztatach.

Wierzimy, że już niedługo  
Zniknie z tego świata  
Zło które w powietrzu ciągle lata  
Wierzimy, że już niedługo  
przed nadejściem lata.  
Spotkamy się wszyscy razem  
Na warsztatach.  
Wierzimy, że już niedługo  
Zniknie z tego świata  
Zło które w powietrzu ciągle jest.



## SKŁAD KAPITUŁY KONKURSOWEJ

*Dorota Sokołowska*

przewodnicząca Kapituły Konkursowej, dziennikarka Radia  
Białystok i autorka książek.

*Bogumiła Maleszewska-Oksztol*

Dział Promocji i Wydawnictw Książnicy Podlaskiej,  
dziennikarka, fotograf.

*Eligiusz Buczyński*

kierownik Działu Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej,  
poeta, wielbiciel poezji.

*Bożena Bednarek*

Stowarzyszenie Szukamy Polski, redaktora naczelną portalu  
podlaskisenior.pl

*Jolanta Falkowska*

Podlaska Redakcja Seniora, sekretarz Kapituły Konkursowej.

# Spis treści

<b>Utwory nagrodzone w kategorii ogólnej</b>	
<b>w dziedzinie poezji</b>	<b>5</b>
Elżbieta Kasperek (II miejsce)	
<i>Knieja</i>	7
Regina Świtoń (III miejsce)	
<i>Retrospekcja</i>	9
<b>Trzy równorzędne wyróżnienia</b>	<b>11</b>
Marek Górynowicz (Wyróżnienie)	
<i>Roma</i>	13
<i>Mallorca</i>	14
Irena Słomińska (Wyróżnienie)	
<i>Mikrokosmos</i>	15
Krystyna Gudel (Wyróżnienie)	
<i>Roma</i>	17
<b>Utwory nagrodzone w kategorii ogólnej</b>	
<b>w dziedzinie prozy</b>	<b>19</b>
Krzysztof Broda (I miejsce)	
<i>Skok</i>	21

Janina Jakoniuk (II miejsce)	
<i>Casting</i>	27
Tadeusz Maksimowicz (III miejsce)	
<i>Chałwa czy buza?</i>	37
<b>Utwór wyróżniony w kategorii ogólnej w dziedzinie prozy</b>	<b>43</b>
Jolanta Maria Dzienis (Wyróżnienie)	
<i>Grzeszne uroki kobiecości</i>	45
<b>Utwory nagrodzone w kategorii specjalnej „#Kiedy zostaliśmy w domu” w dziedzinie poezji</b>	<b>51</b>
Marek Górynowicz (I miejsce)	
<i>Inny zielony maj</i>	53
Irena Słomińska (II miejsce)	
<i>Lustra</i>	55
Beata Kulaga (III miejsce)	
<i>idealny porządek</i>	57
<b>Utwory nagrodzone w kategorii specjalnej „#Kiedy zostaliśmy w domu” w dziedzinie prozy</b>	<b>59</b>
Jolanta Maria Dzienis (I miejsce)	
<i>W smudze światła</i>	61
Marzenna Lewandowska (II miejsce)	
<i>Najmilszy Stasiu...</i>	69
Beata Kulaga (III miejsce)	
<i>Kiedy zostaliśmy w domu</i>	75
<b>Nagroda specjalna Polskiego Radia Białystok</b>	<b>79</b>

Urszula Krajewska-Szeligowska	
<i>Poeta przeciw pandemii (sonet – tautogram)</i>	81
<i>Poeta i pandemia (sonet – akrostych)</i>	81
<b>Nagroda specjalna Książnicy Podlaskiej</b>	<b>83</b>
Irena Słomińska	
<i>Mikrokosmos</i>	85
<b>Utwory wyróżnione przez Podlaską Redakcję Seniora</b>	<b>87</b>
Bożena Staszek (Wyróżnienie)	
<i>Brzemię przeszłości</i>	89
Bożena Klimaszewska (Wyróżnienie)	
<i>Moje miasto</i>	91
Irena Świerżyńska (Wyróżnienie)	
<i>co z Fabianem</i>	93
Grażyna Cylwik (Wyróżnienie)	
<i>Covid-19</i>	95
Dionizy Purta (Wyróżnienie)	
<i>Koronawirus atakuje</i>	97
Halinka Bohuta-Stapel (Wyróżnienie)	
<i>Niemiecko-podlaski pakt obronny</i>	101
Jadwiga Zgliszewska (Wyróżnienie)	
<i>Pandemia story</i>	109
Irena Czerwionka (Wyróżnienie)	
<i>Moje rozmowy z Covidem-19</i>	117
<b>Wyróżnione grupowe</b>	<b>125</b>
<i>Czas pandemii – czas nadziei</i>	127